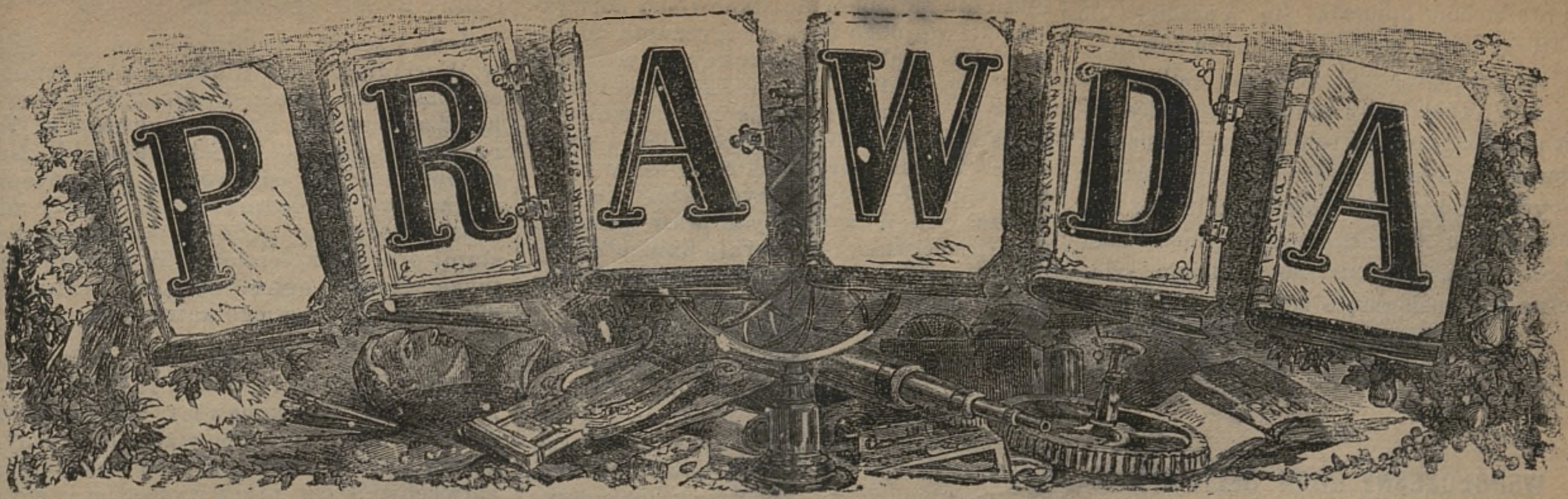
№ 20. Warszawa, dnia 19 (7) Maja 1883 r. Rok III.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. Radosne nowiny p. A. H. — Współczesny ruch religijny w zachodniej Europie I. p. A. Złotnickiego. Burza w zaciszu p. Swetozara Hurbana. — Z Francyi p. K. T. — Sny i widzenia J. Słowackiego (dokończenie) p. Biegeleisena.—Prasa peryodyczna Biblioteka Warszawska p. N. H.—Piśmiennictwo polskie: E. Broniewski Tablice graficzne do dziejów Europy p. L.; St. Grudziński Poezye p. B. — Liberum veto p. Posła Prawdy. — W perspektywie p. Maryana Bohusza. — Tydzień polityczny p. S. C. — Cudze głosy.—Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi.—Ofiary.—Ogłoszenia.

Radosne nowiny.

Śród ziemian naszych wzrasta coraz większy ruch przemysłowo-handlowy, chęć wyjścia ze stanu, który w najlepszym razie zapewniał wygodne życie, zaciemniane jedynie chmurą serwitutów, w najgorszym zaś powolne konanie w rękach lichwiarzy, Ci, którzy z doświadczeń osobistych i ogólnych czegoś się nauczyli, którzy zapomnieli o „przedstawicielstwie narodu" a trzeźwo zrozumieli zarówno swoje własne interesy, jak i dobro społeczeństwa, zaczynają przystępować zbiorowo do rozstrzygnięcia najpilniejszych zagadnień ekonomicznych. Wspominaliśmy w piśmie naszem o kilku zjazdach ziemiańskich i o zawiązywaniu spółek zbożowych; dziś przybywają nam znowu dwa fakty tegoż samego szeregu: w Ciechanowie powstaje zbiorowemi siłami wzniesiona cukrownia a podobne przedsięwzięcie rodzi się w Pułtusku. Uprawiacze buraków, pragnąc uniknąć dotkliwego wyzysku przez fabrykantów, stowarzyszają się sami dla wyrabiania cukru. Czy te próby udadzą się? Przypuszczamy, że ich kierownicy i uczestnicy policzyli się dobrze z warunkami miejsca i ze środkami; wątpliwość zatem dotyczy tylko ich umiejętności, energii i roztropnego pojmowania swych korzyści. Dwa pierwsze przymioty, nie znając osobowego składu spółek, musimy pozostawić pod znakiem zapytania; ale zastanowimy się nad trzecim. Istniejące w tamtych okolicach cukrownie, zagrożone przybywającem współzawodnictwem, usiłują, bardzo naturalnie, znacznie podwyższoną ceną buraków odciągnąć nowym fabrykantom plantatorów, werbowanych do brania udziałów produktem surowym. Manewr ten pozbawia nowonarodzone przedsiębiorstwo nietylko materyału, ale i akcyonaryuszów. Nie udałby się, gdyby „szlachcic" polski: 1) zwykł patrzeć po za granicę zysku doraźnego i 2) nie potrzebował chronicznie pieniędzy. Dwie te przyczyny, których tysiącami pociągnięć pióra przekreślić niepodobna, wpiszą się niezawodnie jako *debet* w losy zamierzonych cukrowni. Czy zaś je przeważy ilość usiłowań oględnych i obrachowanych na dalszą metę, tego my, rozbierając rzecz w oderwaniu, ani wywnioskować, ani wywróżyć nie możemy. I nie o to nam chodzi. Widząc ciągle ponawiające się objawy stowarzyszeń ziemiańskich, pragniemy tylko nad ostatniem z nich zatknąć ostrzeżenie przeciw zadawnionym nałogom, oraz przeciw opartym na nich spekulacyom. Nie życzymy każdej starej fabryce bankructwa, a każdej nowej rozkwitu, pragnęlibyśmy tylko, ażeby nie omdlały w zawodzie energiczne rzuty i nie zmarnowały się mozolnie i bez dostatecznego przykładu skojarzone siły krajowe.

Dotkliwsza byłaby to strata dla naszego, niż dla innego dojrzalszego społeczeństwa. Sam fakt ogłaszania, śród radosnego bicia w bębny, każdej nowej gałązki przemysłu świadczy, jak on u nas z gruntu miejscowego rozwinął się słabo. Za granicą powstają setki przeróżnych fabryk, o których szersza publiczność nie wie i o których żadna gazeta z uniesieniem nie mówi: uważa się to za coś tak prostego, jak otworzenie nowego sklepu lub warsztatu. U nas jeszcze plac pod budowę nie wybrany, a już dzienniki zapowiadają z tryumfem urodziny nowego zakładu, zwłaszcza że go dźwigają siły swojskie. Jest to radość bardzo zrozumiała wobec naszego ubóstwa przemysłowego i tradycyjnej niezaradności w tym kierunku — jest to odbicie radości nietylko z pozyskania krajowych grzebieni lub krochmalu, ale i z rozwoju uzdolnień ekonomicznych, które dawniej do garnituru naszych przymiotów nie należały. Oto powód dla czego i my również zwracamy uwagę na zbożowe i fabryczne spółki ziemian naszych. Smutno, że tego rodzaju objawy służą nam aż za przedmiot chwalby i uciechy, ale byłoby daleko smutniej, gdybyśmy nie mieli się czem pochwalić.

Przeciwnicy kapitalistycznego ustroju na widok nowownoszących się fabryk, nie zacierają rąk i gaszą zapalone iskrami wysokich kominów uśmiechy zadowolenia. Sądzimy jednak, że i z ich stanowiska dostrzedz można niemałoznaczące do niego powody — u nas. Choćbyśmy zakochali się w ich ideałach, dopóki one pozostaną odległemi widziadłami przyszłości, które przesuwają się tylko w panoramie teoryi i nie wcielają się w życie, musimy starać się o najlepszy układ tych stosunków, które tworzą sieć konieczności. Nie spędzamy z naszej kolei tych sfinksów, które stają na drodze całej ludzkości, wiemy, że prędzej czy później ich zagadki rozwiązać trzeba; ale potrzeba tego rozwiązania zależną jest od różnic w rozwoju ekonomicznym społeczeństw. Nasze pod tym względem zaledwie wyszło z niemowlęctwa, ustrój kapitalistyczny nie stał się już u nas ruderą, która grozi zawaleniem i którą co najprędzej opuścić trzeba. Jeszcześmy go nie wznieśli do szczytu, nie wykończyli, nie zajęli całkowicie — a zresztą jest on dziś jedynem naszem pomieszczeniem.

Zamiast tedy gonić niepochwytne światełka, które palą się gdzieś na stropie teoryi jak gwiazdy od ziemi niezmiernie oddalone, słuszniej i praktyczniej rozpalać ogniska z drzew, które mamy pod ręką.

Ten wzgląd każe poważnym wyznawcom wszelkich przekonań społecznych, dbałym o dobrobyt swego narodu, z przyjemnością patrzeć na rozrost jego materyalnych sił, chociażby one nie dobywały się i nie skupiały w najbardziej pożądany sposób. Tem przyjemniej zaś, gdy jakieś

nowe źródło energii wytryska na skale, która mocno opierała się burzom, ale w której łonie wyschły ożywcze zdroje.

Przykład jest zaraźliwym: usiłowania ziemian lubelskich i płockich, gdyby nawet nie osiągnęły swych celów, posłużą za pobudkę innym i może rozbudzą szereg nowych pomysłów, nowych założeń. Doprawdy nic w naturze nie ginie: nawet dobre chęci, zawiedzione nadzieje, szlachetne i nieosiągnięte zamiary...

A. H.

WSPÓŁCZESNY RUCH RELIGIJNY
w zachodniej Europie.

I.

Wszelkie objawy życia zachodnio-europejskiego powinny być dla nas przedmiotem szczegółowych badań, gdyż one poniekąd opowiadają nam historyę przyszłych zjawisk naszego umysłowego i społecznego rozwoju. Między nimi zaś ruch religijny jest jednym z ważniejszych i jako taki powinienby zwracać uwagę naszego ogółu. Prasa jednak polska bardzo rzadko poddaje go krytyce i zwykle dotyka wtedy tylko, gdy jakiegoś faktu nie może pominąć milczeniem.

W historyi dziejów ludzkości spostrzegamy epoki, w których stare zasady wstrząśnięto i zburzono, podczas gdy nowe nie przyjęły jeszcze odpowiedniej formy i określonego kierunku; są to doby zwątpienia, strachu i niepewności, kiedy widma przeszłości nie przestają jeszcze łudzić ducha. Do takich chwil należy powstanie krytycznego poglądu na sprawy uświęcone tradycyą, a stąd niemogące być przedmiotem rozumowań. Pogląd ten rozpoczął dobę dziejów nowożytnych, postępował równolegle z rozwojem myśli, aż wreszcie, przyjąwszy pewne oznaczone formy, ujawnił się w systemie, znanym pod nazwą *racyonalizmu*.

Zasadnicze jego pojęcie polega na podniesieniu sumienia do stanowiska najwyższego religijnego organu, a rozumu do stanowiska zdolności, wyrokującej w sporze między prawdą a fałszem. Zadaniem chrześcianizmu było moralne przodownictwo ludzkości; uszlachetniać się więc i wyjaśniać winien, gdy duch człowieczy wstępuje w nowe fazy. Racyonalizm nie wyklucza religii z ogólnych praw postępu, lecz przeciwnie, wszystkie dawne systematy uważa za konieczne zjawiska niezupełnego rozwoju.

„Moralny pierwiastek chrześcianizmu jest słońcem na niebie, dogmatyczne zaś systemy są chmurami, pochłaniającemi zbyt rażący blask jego promieni. Przy każdym zmiennym powiewie wiatru łączą się one i dzielą, przyjmują nowe kształty, aż wreszcie zejdą zupełnie z horyzontu, pozostawiając samo słońce w całej pełni jego blasku.“

Trafne to porównanie, użyte przez Leckego*) charakteryzuje znakomicie istotę dogmatyzmu. Dogmat nie może zastąpić uczucia. Uczucia moralne nie posiadają tej logicznej określoności i surowości, jaka znamionuje artykuły wiary. Zmiana uczuć moralnych na korzyść dogmatów sprowadzić musi koniecznie upadek danego systemu religijnego. Duchowieństwo staje się wtedy punktem ciężenia religii, bojaźń zaś — jej istotą. Współczesny prąd religijny przejawia się w kierunku racyonalizmu, t. j. dąży do zniszczenia systemu dogmatycznego, chcąc zachować tylko moralny pierwiastek chrześciaństwa, uczynić go ideałem, a nie systematem.

Pierwszym przejawem dążności tego kierunku, w bieżącym stuleciu, było powstanie „Niemieckiego katolicyzmu“ — ruchu religijnego, znacznego i doniosłego w swoim czasie, dziś ograniczającego się na kilku zaledwie gminach. Jednocześnie ruch podobny ujawnił się w protestantyzmie, o którym wspomnę niżej. Wywołany on został w chwili ogólnego wrzenia politycznego i religijnego, po roku 1840, przez Czerskiego, wikaryusza ze Schneidemühl i Jana Rouge, księdza ze Szląska.

Jan Czerski urodził się w r. 1813, w Werlauben nad Wisłą. Po ukończeniu seminaryum poznańskiego (1842) został księdzem, później był wikaryuszem w Wyry, a wreszcie — w Schneidemühl. Niezadowolony z surowości katolicyzmu, znalazłszy zwolenników dla swej idei i ożeniwszy się (1844), otwarcie wystąpił przeciw kościołowi. W tymże czasie także Rouge ogłosił swą myśl założenia nowego, niemieckiego katolicyzmu.

Jan Rouge, urodzony na Szląsku również w r. 1813, przyjął w r. 1840 święcenie kapłańskie. Przekonawszy się, iż katolicyzm rzymski nie odpowiadał ówczesnym potrzebom ducha i oburzony szerzeniem bałwochwalstwa przez wystawienie sukni świętej w Trewirze na widok publiczny, wystosował w 1844 r. list otwarty do tamecznego biskupa Arnoldego, wyraziwszy w nim swoje niezadowolenie i potrzebę reformy kościelnej. List (wydrukowany w *Sächsische Vaterlandsblätter*) ściągnął tysiące osób z rozmaitych stron do nowego apostoła. Wolność myśli i sumienia była hasłem rozpoczynającego się przełomu, nadanie katolicyzmowi pozytywnego charakteru stanowiło cel jego, a środkiem ku temu — zerwanie wszelkich więzów tradycyjnych, krępujących ducha, rwącego się ku swobodzie. Jan Czerski bardzo czynny przyjął udział w tym ruchu. Nowy katolicyzm wzrastał szybko; pod koniec 1845 r. liczono już około 300 gmin zreformowanych. W dniu 22 marca t. r. odbył się pierwszy sobór wyznawców w Lipsku, który postanowił, iż jedynem źródłem i normą chrystyanizmu jest Pismo św.; wykład jego i objaśnienie pozostawił rozumowi, przejętemu prawdziwą ideą chrześciańską. Rządy usiłowały zapobiedz szerzeniu się nowego katolicyzmu, szczególnie w Saksonii, Prusach, Würtembergu i Kurhessen. Dopomogła im wzrastająca niezgoda pomiędzy samymi założycielami. Już na drugim soborze, (1847 r. w Berlinie) silna przejawiała się skłonność ku zbliżeniu, lub też zupełnem połączeniu z wolnemi gminami protestanckiemi.

*) W. E. H. Lecky. *Geschichte des Ursprungs und Einflusses der Aufklärung in Europa*. Lipsk. Heidelberg. 1874. I. str. 130.

---

5)

Burza w zaciszu

przez

Swetozara Hurbana.

Maciej Mraz nie wiedział, co się z nim stało. Otaczała go jakaś mglista pomroka. Wiatr zawiał, liście lipy zaszumiały a w szumie tym usłyszał cichy śmiech. Czyj to śmiech, co zabija?

Minął tydzień. U Orzechowańskich oczekiwano powrotu pana domu. Pani Orzechowańska wyszukała fotogram szwagra nieboszczyka, i ubrawszy go niezapominajkami, powiesiła nad stolikiem małżonka. Ciotka Lydya dosiadła włoskiego pegaza i wylała sonet na skon „męża zapoznanego przez świat.“

W sonecie brzmiały zasługi, o jakich się nieboszczykowi nawet nie śniło. Ernest odbywał częste wycieczki po okolicy i czytał Hermie jakiś głupi romans niemiecki, pełen blasków księżyca, miłości ubogiego młodzieńca dla bogatej jedynaczki i tym podobnych romantycznych bzdurstw. Herma słuchała cierpliwie, przy czytaniu bowiem mogła swobodnie oddać się swym myślom. Dla niej była to rzecz zupełnie obojętna, czy się biedakowi dostanie owa jedynaczka, czy w ten lub inny sposób świecił księżyc.

Budynek szkolny opustoszał. Ostatni żacy rozbiegli się... wszak już było po egzaminach.

Przybyły w tym celu dziekan załatwił się prędko.

— Cóż się to dzieje z naszym nauczycielem? — pytał miejscowego proboszcza na drodze z kościoła—bardzo wynędzniał i postarzał znacznie.

— *Melancholicus, rogo humillime*, panie bracie — odpowiedział staruszek i zażył ze srebrnej tabakierki.

W ten sposób szkoła zamieniła się wkrótce na izbę gospodyni nauczyciela. Na ławkach stały niecki, skopki i różne garnki, a katedra obwieszona była rozmaitą starzyzną.

Pan nauczyciel zaraz po egzaminie położył się do łóżka. Całe ciało trzęsło się od zimna, chociaż na dworze panował upał nieznośny.

Marysia, skoro tylko dowiedziała się o tem, przybiegła do swego „pana rechtora;“ ze łzami w jasnych oczach pytała, co go boli, co mu jest?

— Nic szczególnego Marysiu, to przejdzie —odrzekł Mraz, a szczękając zębami, okrywał się kołdrą aż po samą brodę. Marysia naznosiła pierzyn, gotowała rumianek i wogóle pomagała głupiej staruszce, co zaledwie zdrowego obsłużyć umiała.

Pod wieczór było choremu jeszcze gorzej. Twarz się rozpłomieniła.

— Pamiętajcie, żebyście nie zaspali! — przykazywała Marysia starej Kacie—przyjdę wczesnym rankiem.

Staruszka przyniosła kądziel i wrzeciono. Zasadziła jeden zwitek przędzy i wzięła się do roboty.

Przed oczyma nauczyciela poczęły się tworzyć koła ruchome; to się zwężały, to znów rozciągały do wielkości niezmiernej. Izba cała kołysała się, jak łódź miotana burzą. Już, już się przewracała.

Mraz się podniósł i usiadł. W około niego było szaro. Księżyc zasłonięty chmurami rzucał przez okno słabe swe światełko. Ciche chrapanie staruszki odzywało się z kąta.

— Sam, sam — pomyślał Mraz i serce o mało mu nie pękło z boleści. Nigdy jeszcze nie poczuł tak ciężaru opuszczenia. Postanowił zaraz z rana posłać po siostrę, Kalinową.

W głowie mu jakoś ulżyło, widziadła znikły, lecz za to czuł ból głęboki. Ta dusza łagodna, spętana w rozwoju naturalnym, rozwarła się od razu, rozszerzyła, wzleciała nad poziom, a w tem ogłuszona, zgnębiona, wpadła w smutek grobowy. Dusza ta zdolna do silnych wzruszeń, uśpiona okolicznościami życia, utonęła w spokoju i tęsknocie — ona rzec można niewyfermentowała. Powiadają, że w zwaliskach Herkulanum znaleziono młode wino zamknięte hermetycznie. Pozostało ono moszczem aż do chwili odkrycia, a gdy je wyniesiono na powietrze, zaczęło się burzyć. Duszę nauczyciela wywiodły na świat

Prądy rewolucyjne 1848 roku nadały katolicyzmowi niemieckiemu kierunek nowy — polityczny. Wielu z pomiędzy jego wyznawców hołdowało zasadom demokracyi i radykalizmu, skutkiem czego, pod naciskiem wkrótce zaprowadzonej reakcyi, zaczął się chylić do upadku. Na zebraniu przedstawicieli niemieckiego katolicyzmu i gmin wolnych protestanckich (w Gotha, 1859), nastąpiło zupełne połączenie obu stowarzyszeń pod nazwą „Związku gmin wolno-religijnych“ (*Bund freireligiöser Gemeinde*). Czerski przystąpił do tego związku i jest obecnie proboszczem wolnoreligijnej gminy w Schneidemühl. Rouge zaś po 12-letnim pobycie w Londynie powrócił do Wrocławia a w r. 1863 założył we Frankfurcie związek religijny pod nazwą *Reformverein*. Od r. 1873 mieszkał w Darmstadt i tam umarł (1879).

„Gminy wolne protestanckie“ szczęśliwszemi były od nowokatolicyzmu. Powstały one wskutek walki wolnego chrześciańsko-racyonalistycznego kierunku z pietystyczno-mistyczną prawowiernością, walki, która po r. 1870 wywołała ruch starokatolicki w kościele rzymskim.

Pierwszym apostołem gmin wolnych był kaznodzieja Sintenis z Magdeburga, który wystąpił przeciw bałwochwalczemu modleniu się przed obrazem Chrystusa i dał początek związkowi „Przyjaciół protestanckich,“ inaczej „Przyjaciół światła.“ W r. 1844 związek ten liczył już 2,000 do 3,000 członków. W tym czasie kaznodzieja Wislicenus z Halli ogłosił się zwolennikiem racyonalizmu i usiłował go obronić w odczycie publicznym: *Ob Schrift, ob Geist*? Odczyt ten zjednał „przyjaciołom światła“ 130 nowych członków z pośród duchowieństwa i 500 świeckich. Głównymi przewodnikami ruchu byli wtedy: Uhlich, późniejszy panteista, König, Wislicenus, Duncker, Schwetschke, księgarz, literat i redaktor *Halle'sche Zeitung*, Sintenis, Wilhelm Baltzer i inni.

Pierwsza rzeczywista „wolna gmina“ utworzoną została w Królewcu (1846); następnie powstały inne w Halli, Magdeburgu, Halberstadt, Nordhausen, Marburgu, Kwedlinburgu itd.

Jednoczesny rozwój niemiecko-katolickiego ruchu podtrzymał zwolenników protestanckiego racyonalizmu. Edykt tolerancyjny (1847) uregulował stosunki gmin dysydenckich. W r. 1848 odbył się kongres przedstawicieli gmin wolnych w Nordhausen. Na kongresie tym przyznano zupełną autonomię gmin oddzielnych. Takie usamowolnienie pozbawiło je pierwotnego, ściśle religijnego charakteru i przyczyniło się do późniejszego upadku. Od r. 1848 zaczęły się skłaniać ku radykalizmowi politycznemu, skutkiem czego ciągłych doznawały prześladowań ze strony rządów, a w niektórych nawet miejscowościach zostały zabronione.

Wislicenus wtedy zmuszony był udać się do Ameryki, do Hoboken, gdzie otworzył szkołę. Po powrocie do Europy 1856 r. osiadł w Zürychu, otworzył tu takżo podobny zakład i odtąd do końca życia (1872) zajmował się wyłącznie pracą literacką.

Wolno religijne gminy nikły powoli. W r. 1856 było ich już tylko 104. „Związek gmin wolno-religijnych,“ ustanowiony 1859 r. na kongresie w Gotha, nie zdołał wskrzesić pierwotnego zapału. Reakcya po r. 1848 była zbyt silną i przygnębiającą.

Według postanowień kongresu w Gotha wszelkie sprawy religijne pozostawione są wolnemu, osobistemu rozstrzyganiu; celem zaś związku jest pomnożenie życia religijnego. W r. 1865 odbył się trzeci kongres. Ze śmiercią Leberechta Uhlicha (1872), będącego pod koniec życia właściwie propagatorem popularnego panteizmu, związek gmin wolnych także żyć przestał. Późniejsza walka państwa z kościołem wywołała nowy ruch religijny, którego przedstawiciele, szczególnie Kalthoff, pastor i kaznodzieja z Berlina, domagają się założenia nowego kościoła narodowego. Ruch ten znajduje zwolenników. Gminy wolne posiadają dzisiaj 11 czasopism wydawanych w Niemczech.

Kierunek jednak wolnych gmin Kalthofa więcej jest radykalny, filozoficzny. Według niego Jezus wskazał swym uczniom religijny ideał ludzkości, a ideał ten po jego śmierci mógł być uratowany jedynie przez wiarę w jego zmartwychwstanie. Wiara w prawdziwość tego ideału zespoliła się całkowicie z wiarą w zmartwychwstanie historycznego Jezusa i to stanowiło przyczynę pierwotnego związku pomiędzy historycznym Jezusem a idealnym Chrystusem. Nauka kościelna popełniła błąd, utożsamiając te osobistości. Idea bezwzględna wciśniętą została w formę zjawiska historycznego, ideał ukazał się światu ucieleśnionym, a więc nieuniknienie unaocznionym i skończonym w katolicyzmie. W racyonalizmie i w tak zwanej religii naturalnej utrzymał się właściwie, lecz z wyraźnem zaznaczeniem, że niezależnym on jest od wszelkich zjawisk historycznych, wieczną swoją osnowę znajduje jedynie w rozumie ludzkim *).

(D. c. n.)

Dr. A. Złotnicki.

*) Dr. Kalthoff. *Das Leben Jesu*, Berlin. 1880.

Z FRANCYI.

6 maja.

Prawda i prostota. — Sztuka prawodawcą. — Skrzywdzone piękno. — Realizm na płótnie. — Doré. — Echo romantyzmu. — Literaci współcześni i mistrzowie słowa. — Wycieczka nad Leman. — Za sprawiedliwość. — Praca socyalistów polskich z Przedświtu nad językiem. — Próbki. — Niepojęty ustęp.

Prawda i *prostota* — oto dwa hasła, zasady, w imię których występuje do walki tryumfujący dziś we Francyi zastęp krytyków i artystów. Mają to być jedyne cnoty, konieczne i wystarczające dla zbawienia sztuki. Niech no tylko belletrystyka, malarstwo, rzeźba przejmie się w należytym stopniu maksymami, prorokowanemi brutalnie przez Zolę i nieco delikatniej i względniej przez jego wyznawców, a wtedy wpływ sztuki na rozwój społeczeństw, znaczenie jej w historyi ludzkości stanie się potężnem, jak głos Jehowy, przemawiającego wśród płomieni. Porównanie to wydaje mi się zupełnie ścisłem i dokładnem. Utwory piękna nietylko dadzą znajomość praw natury i prawd życia, ale strwożone rzesze zakrywać będą oczy i uszy na to nowe objawienie, jak niegdyś

---

boży, piękne oczy dziewczyny, a jej pełne, malinowe usta pogrążyły ją w noc wieczną.

Bryczka stanęła przed bramą dworu. Wysiedli z niej Orzechowańscy, stary i młody. Cała rodzina wyległa przed dwór.

Karol, gdy żona chciała uściskać, machnął ręką.

Ojciec i syn weszli milczący do wnętrza. Na ich twarzach malował się gniew.

— No, przecież. Co się stało? — pytała ciotka niespokojna.

Karolowi wpadł w oko fotogram brata nad jego stolikiem!

— To sobie z nas zakpił! — rzekł — oprawcie go w złote ramki!

— *Mon Dieu, mon dieu* — załkała ogarnięta złem przeczuciem pani Orzechowańska.

— Czy wiesz, maman, kto jest spadkobiercą stryja?

— No! — zawołali jednym głosem Orzechowańska, Lydya i Ernest.

— Marysia Bohunkówna! — rzekł i zaśmiał się śmiechem niemiłym, nerwowym.

— Dochody z majątku należą do papy— pocieszał Aureli przelękłe towarzystwo.

— Aż do jej zamążpójścia i to pod warunkiem, że ją przyjmiemy do rodziny, wychowamy i wprowadzimy w świat, w przeciwnym razie pójdzie wszystko na szpital.

— Wiejską dziewkę! — zawołała Luiza, o nigdy, nigdy!

— Jednem słowem przegraliśmy stawkę — rzekł po cichu Karol.

— Niegodziwiec, odstępca! — syknęła z gniewem włoszka.

— Przecież zawsze mówiłam, że szwagier jest włóczęgą i ladaco — dodała pani Orzechowańska; ale ten testament nie może być ważnym! Jesteśmy jeszcze my, jego krewni, jesteś, ty jego własny brat!

— Hm, — mruknął Aureli, wzruszając ramionami — stryj oddaje swój majątek zapracowany, któż mu tego może zabronić.

Jan Orzechowański wytłomaczył ostatnią swą wolę tem, że Adamowi Bohunce zobowiązany jest do wiecznej wdzięczności. On go bowiem ocalił od śmierci i służył mu wiernie. Adam nie przyjął żadnej nagrody, zatem Jan Orzechowański chce chociaż po śmierci spłacić swój dług... Stosowne zapisy dla rodziny miały ją pogodzić z losem. Nawet i o ciotce nie zapomniał.

Był to dla rodziny Orzechowańskich dzień pełen burz. Luiza mdlała, stary klął, ciotka jęczała.

Herma rozpłakała się z radości! Zagadka jej życia, tak gnębiąca młodą duszę, nagle się rozwiązała. Klennera znienawidziła do głębi serca. On to poszczuł psa na Marysię, na tę Marysię, która naraz miała zostać członkiem ich rodziny. Jakieś usposobienie poetyczne ogarnęło egzaltowane dziewczę. Wymknąwszy się z towarzystwa, pobiegła najkrótszą drogą do Bohunków. Drzwi były zamknięte.

— Gdzie Marysia? — spytała kobiety piorącej w pobliżu.

— U pana rechtora — odpowiedziała kobieta i uderzyła kijanką w chustę tak silnie, że aż krople wody naokoło się rozprysły. Herma pobiegła prosto do szkoły. Maciej Mraz blady i smutny siedział w skórzanym fotelu.

Herma przelękła się jego wejrzenia, stanęła we drzwiach. W jednej chwili zapomniała o swem poselstwie.

— Co to panu, panie Mrazie — zawołała głosem pełnym współczucia i zbliżyła się do niego. Znów jej usta na pół się otworzyły, oczy pałały ciekawością. Pan jesteś chory, bardzo chory!

W nauczycielu odezwało się serce.

— Cóż to za zaszczyt, pani, że ją raz jeszcze widzę! Nie sądziłem, żeby się to zdarzyć mogło. Pani jesteś tak piękną, tak dobrą!

W słowach naszego idealisty dźwięczała tęsknota miłości, miłości gorącej, bezgranicznej.

Przez głowę dziewczęcia przemknęła się błyskawicą jakaś dziwna myśl. Cofnęła się wtył i spojrzała w twarz nauczycielowi. Jakiż głęboki i uroczysty spokój przebijał się w tych rysach! Czyżby to był zwiastun spokoju wiecznego? Wszystko, co zaszło, stanęło żywo w jej pamięci; zaczęła coraz jaśniej pojmować, coraz wyraźniej przenikała przed skromnego człowieka i odgadywała jego stan, jego chorobę...

— O jakże bogate serce masz, przyjacielu mój — rzekła nakoniec i opuściła główkę...

Weszła Marysia. Herma drżącym głosem oznajmiła dziewczęciu radosną nowi-

izraelici w puszczy. Już dziś wpływ taki widzimy na czytelnikach *Pot-bouille'a.* Czego nie są wstanie dokonać okropności scen, wprowadzonych nietyle z potrzeby, ile dla zasady, to z pewnością zdoła zrobić nużąca, pozioma jednostajność opisów. Na wielką skalę zjawisko znieczulania zmysłów uwidoczni się, jak tylko sale galeryj napełnione zostaną sztukami współczesnych realistów, a na półkach księgarń Wiktora Hugo, Musseta itd. wypchną noweliści fejletonowi.

Prawda i prostota! A piękno — zapyta może kto zdziwiony? Wschodni radykalizm odpowiedziałby na to pompatycznie, że garnek z surowej gliny wart więcej, niż Wenus Miloska, że piękno—to zbytek szczęśliwych i myśleć o niem — kiedy ludzi tysiace, miliony z głodu umierają — grzech śmiertelny. Na Zachodzie dojście do takiego otwartego głupstwa jest niemożebnem już dziś. Cywilizacyjny wpływ uczuć estetycznych zanadto jest znany, potrzeba ich zanadto odczuta. Uniesieni jednak sekciarską jakąś zapalczywością, naturaliści tutejsi często zapominają o pięknie, lub je utożsamiają z prawdą i prostotą. Ilu by w takim razie arcydzieł, co dziesiątki już pokoleń czarują bez przerwy, należało odmówić wartości i racyi bytu!

Malarstwo francuskie, idące z duchem epoki, dzieli się na trzy części. Najprzód impressyoniści (najnowsi), którzy doskonałość widzą w starannem zamazaniu rysów ludzi i rzeczy, a także w omdlewających jakichś barwach. Nie wiem, czy u nich przeważa prawda, czy prostota, ale to tylko pewne, że wrażenia żadnego nie robią. Potem idą nagie kobiety. Tu już chodzi jedynie o prawdę, bo na zapytanie, po co to? zwolennicy naturalizmu odpowiadają zupełnie jak w obronie drażliwych scen Zoli: czemu tego nie malować, kiedy na świecie nagie ciało istnieje. Dodać trzeba, że na zalewającą mnogość *kąpiących się nimf, Nan* itd. wpływa smak kupującej publiczności zrówną zapewne siłą, jak zasady i popędy estetyczne. Trzeci nareszcie i najbardziej typowy odłam panującego kierunku tworzy sceny powszedniego życia. Najlepiej on zapewne odpowiada życzeniom proroków, gdyż tu prawda i prostota dosięgają szczytu. O tego to rodzaju tworach myślał pewnie warszawski prelegent, kiedy w imię brodawki współczesnego mistrza przeklął na wieczną nicość Rafaelowską Madonnę. Nie znam obowiązujących ustaw dla takich realistycznych płócien, ale drogą indukcyi doszedłem, że muszą one być następujące: 1) koniecznie powinna być choć jedna stara baba, lub w najgorszym razie młoda, byle tylko dostatecznie brudna; 2) obecność podartych trzewików lub sabotów jest nieuniknioną. 3) pożądanem jest, choć niekoniecznem, aby obraz zdobiły poszarpane mury, fury z nawozem i charakterystyczne pozy domowych zwierząt.

Kiedym po raz pierwszy przyjrzał się jednemu z takich płodów realizmu, uczułem pewien zachwyt. Dziwiła mię tam umiejętność łudząco prawdziwego przenoszenia życia na płótno. Potem, znalazłszy się w galeryi Luksemburskiej, gdzie jeden z korytarzy zawieszony tego właśnie rodzaju prawdziwością, czułem znużenie, którego na razie wytłomaczyć sobie nie mogłem. Nagle spotykam malutki obrazek Dorego. Co za różnica! Odżyłem wprzód, nim się wrażenia zdołały uświadomić. Ani prawdy, ani prostoty (rzecz prosta, że ani jedna, ani druga zgwałcone nie zostały, nie występowały one tylko jako cel malowidła)! Na dole. obok jakiegoś budynku, gromadka ludzi, w górze na niepokalanym lazurze unosi się śnieżny anioł. Nic więcej, ale jakiś czar, bijący z doskonałej harmonii, jakieś niepochwytne dla słów piękno porywa, zachwyca, podnosi. Z pewnym wstrętem potem mijałem banalne figury rybaczek, praczek, żandarmów...

Podobnego wrażenia doznałem w teatrze na dramacie Musseta: *On ne badine pas avec l'amour.* Najcharakterystyczniejszym rysem współczesnej literatury, zarówno powieściowej, jak i teatralnej, jest zupełny brak uczuć, któreby nas głębiej poruszyć mogły, któreby nas związały choć na chwilę z losem bohaterów. Autorowie wysilają się jedynie na dokładne, prawdziwe przedstawienie pewnych położeń. Zamiast wewnętrznego stanu bohaterów. widzimy ich miny i gesta; zamiast dusz pokazują nam szczególne znaki: brodawki, patologiczne narośle, jakieś drobniutkie wady, śmiesznostki itd. Jeśli czasem działająca osoba poważy się, porwana atakiem nerwowym, na zazdrość lub zemstę—robi to tak jakoś ślamazarnie, jakby wskutek obowiązującego kodeksu towarzyskiego. Dzisiejsi autorowie francuscy wyglądają jakby chorzy na chroniczną niestrawność i to ich wprawia w cierpki nastrój pessymizmu; aby ulżyć cierpieniom wylewają na świat w regularnych odstępach kieliszki goryczy *). Kto, nawet z pośród samych autorów wierno-realistycznych, niedrżał od wzruszenia, czytając bardzo fantastyczne utwory wszystkich wielkich mistrzów świata? Bo tam z pod pięknej powłoki, niedającej się ująć w karby reguły, przemawiały do nas uczucia, nieraz nieziemskiej siły. ale takie, że odszukać w duszy potrafiły zawsze pokrewne pierwiastki. a choćby tylko ich zarodki. Co może wywołać najprawdziwszy, najmisterniejszy haft dzisiejszego nowelisty? Zaledwie miły uśmiech uprzejmego zadowolenia. Repertoar możliwych scen ma się już ku końcowi, to też chwycono się uprawy malowania słowami najprostszych, najzwyklejszych rzeczy, zajść. Mamy więc nowelę, która nam opisuje wejście jakiegoś X na chór paryskiego kościoła. Nic więcej, tylko to. ale widzimy i schodki wązniutkie i słyszymy, jak się one naginają, skrzypią; idący nachyla się, prostuje, rozszerza oczy w ciemności, potem je przymyka. Jedyne wrażenie. jakie budzą takie płody językowej gimnastyki, streszcza się w słowach: jak to wiernie uchwycone! Nic więcej.

Niech mi wolno będzie opuścić Francyę i przenieść się z czytelnikiem do Szwajcaryi francuskiej, nad brzeg malowniczego Lemanu.

W Genewie przez lat już kilka męczy się socyalistyczne pisemko polskie, o którego istnieniu ledwie parę razy tylko przebąknięto. Z początku przez $1\frac{1}{2}$ roku mieniło się ono *Równością*, a potem od r. 1881 nosi tytuł *Przedświt*. Co wiosnę czekam

*) W sprawie naturalizmu, jak w sprawie każdego kierunku sztuki, najsłuszniejszem, według nas, jest to stanowisko, które nie uważając go za najwyższy lub najniższy wyraz artyzmu, widzi w nim równouprawniony z innymi rodzaj (*Red.*)

---

nę i przycisnęła ją do serca. Marysia nie zrozumiała Hermy, pocałunki panny paliły ją na twarzy. Nauczyciel znał dawniejsze stosunki Jana Orzechowańskiego i Adama Bohunki a chociaż go ta wiadomość nieco zadziwiła, uznał przecież słuszność rozporządzenia. Piękna dusza Hermy przedstawiła się jego oczom w całej swej wspaniałomyślności! Herma wydała mu się jak gwiazda, pozornie zbliżająca się ku nam... w rzeczywistości jednak ginąca gdzieś w przyćmionym lazurze niebios. Głowa nauczyciela opadła na poręcz fotelu, oczy się zamknęły. Wyglądał naprawdę jak martwy.

Stary Bohunka podobnym był z wielu względów do tego francuskiego gwardzisty, co po ukończeniu służby tłukł kamienie na szosie. Napoleon spostrzegłszy go, spytał o przeszłość i chciał mu wyświadczyć jakąś łaskę.

— Spełniłem uczciwie swój obowiązek — rzekł weteran — proszę waszą cesarską mość, aby mi nie przeszkadzał w pracy.

Jan Orzechowański, u którego służył Bohunka, napadnięty był kiedyś przez trzech madziarskich bohaterów w szerokich spodniach. Wierny sługa zacisnął zęby, wyciągnął kłonicę z wozu i zaczął po słowacku młócić głowy rozbójników. Dwom rozbił drogocenne czaszki, trzeci zemknął. Pan chciał go wynagrodzić, Adam nadąsał się i poprosił o uwolnienie ze służby. Jakaś tęsknota za swobodą zawładnęła jego dobrem sercem. Później zgodził się na przyjmowanie pieniężnego wsparcia od byłego swego pana... nie dla siebie. lecz dla córki, sieroty. której matka umarła po porodzie.

Niespodziane szczęście Marysi pomieszało prawie starzejący się umysł zakrystyana. Jakiś ból osiadł w jego sercu, zdawało mu się, że go dotknęło jakieś wielkie nieszczęście.

Córka jego miała przejść pod opiekę Orzechowańskich, miała się przygotować do wielkiego majątku.

Ojciec zawołał Marysię, wyjaśnił jej nowy stosunek i spytał, czy chce wstąpić w te nowe związki. Marysia nie wiedziała, co robić. Dobre, pełne miłości słowa Hermy wywierały na nią silny wpływ. Herma bowiem wystawiała jej życie piękne, bez troski, obfitujące w korzyści nieznane. Cóż dziwnego, że główka dziewczyny pałała a myśli wrzały! Stary Bohunka sam przez chwilę był w kłopocie. Ostatecznie postanowił wszystko pozostawić córce.

— No cóż? — spytał, spoglądając na nią spojrzeniem ostrem. przenikającem.

Zapłoniona twarz dziewczyny dowodziła, że już i w niej powstała tęsknota za temi rozkoszami nieznanemi.

— Przecież będziesz ze mną, tatku... Jak ty chcesz!

— A więc idź w imię boże — rzekł starzec. Oblicze jego zachmurzyło się. Pocałował ją wesoło, westchnął.

Orzechowański przyszedł sam po swoją wychowanicę. Zgryzł kwaśne jabłko i poddał się rozporządzeniom testamentu... bo wreszcie administracyi i używania takiego majątku nie można opuścić z lekkiem sercem. W piersi upartego Adama nurtował ból tajony. Żegnał córkę jak na łożu śmierci. Nie zdradził swych uczuć, ale głęboko cierpiał na tem, że Marysia nie opierała się przeniesieniu do innego domu.

Marysię przywiedziono do dworu, jak młodą, dziką sarenkę. Drżała, gdy pani Orzechowańska wycisnęła na jej czole pocałunek macierzyński. I pieścić się z nią musiała po słowacku... po sło-wa-cku! Każde słowo przeciskało jej się przez gardło. Marysia czuła się skrępowaną, bardzo skrępowaną. Płakała, gdy ją ubrano wnowomodne suknie. I rzeczywiście straciła w nich cały swój powab. Przedtem była delikatna, gładka i zwinna jak wiewiórka. Szybki jej krok stał się niezręcznym w ciasnych bucikach, swobodne kosy, wciśnięte do fryzury, siedziały na głowie, jak nie na swojem miejscu.

A jednak charakter kobiecy jest bardzo giętki i zdolny do zmian Nie upłynął miesiąc a Marysia przywykła do nowego stroju. Wszyscy jej pochlebiali; Herma ze szczerości siostrzanego serca, jej matka z konieczności i z tajonym gniewem, Lydya dla tego, że nie miała w tym domu własnej woli. Herma była niezmordowaną nauczycielką Marysi. W jej ręku dziewczyna zaczęła się rozwijać, nabrała innego obejścia, choć co prawda—pozbawionego naturalności. Karol Orzechowański miał na pieczy madziarszczyznę.

z trwogą żałobnej wieści o śmierci szanownego organu — marzec taki straszny dla suchotników—a tymczasem przekonywam się coraz więcej, że wytrwałość i szukanie nagrody w wewnętrznem zadowoleniu, a nie w uznaniu cudzem, wiele zdziałać może.

Niesprawiedliwość prasy naszej względem genewskiego kolegi jest tem większą, że, pomimo pewnych wspólnych cech, o całe pół głowy przerasta on pod względem wartości *Kuryer Paryski*.

Nie dla tego, żeby był mniej nudnym, lub bardziej głębokim, gdyż wierzy równie święcie, jak i organ pana Reifa, że jeżeli ktoś wymawiając imię wydawców i redaktorów jego, nie obnaży głowy, to skazanym zostanie na potępienie wieczne w historyi; ale od jakiegoś czasu zaczyna zdradzać zamiłowanie do poprawności literackiej, co przecie dla pisma wiele znaczy.

Wysiłki nad rozwojem naszego języka doprawdy nie powinny przejść tak bez wszelkiego uznania. Za specyalność *Przedświt* obrał sobie udoskonalenie sposobów besztania się. Rozszerzył jakościowo terminologię odpowiednią; niezmordowanie pracował nad równouprawnieniem wyrazów i wprowadzeniem do piśmiennictwa epitetów, które się dotąd nie wymawiały i nareszcie potrafił tak urabiać i wiązać zdania, że mieściły w sobie bez urazy harmonijności niepraktykowanie wielką dotąd liczbę łających wyrażeń. Mocno żałuję, że nie jestem w stanie przedstawić czytelnikom całokształtu tej wytrwałej działalności i muszę się ograniczyć na nielicznych próbkach, które są tem tylko, czem garść piasku wobec góry wspaniałej. Czy nie ładnie brzmi nieznane dotąd orzeczenie *przepodlona nikczemność*?

Ostatni (16) numer przyniósł nam znowu niezmiernie charakterystyczny okaz *Przedświtowej* polemiki.

Lwowskie pisemko socyalistyczno-robotnicze, *Praca*, przeszła widocznie w ostatnich czasach w ręce rusinów-federalistów (kierunek Dragomanowa), którzy oburzają się nawet na geologów, jeżeli ci w pracach swoich zapominają oznaczyć granic etnograficznych.

Dziwne to patryotyczno-rusińskie przedsiębiorstwo w polskim języku zasłużyło na ostre skarcenie *Przedświtu*. Trzeba przyznać przytem, że tym razem udało się genewskiemu prorokowi mieć racyę, gdyż przewinienia jednego pisma socyalistycznego spadają na ogół partyi, a przewinienia są duże. Najprzód lwowskie wydawnictwo posługuje się wyrażeniami niedwuznacznej wartości (pozostawanie przez *pewny* czas na czele frakcyi, *ugnębione, ugniecione nacyje, italijańskie* robotniki, Marx *uwleczony* swym planem itd.), a powtóre ze zręcznością Filipa z konopi napadło na ekonomiczne teorye Marxa w imię swego federalizmu.

Oto jaskrawsze, choć wcale nie jedyne w swoim rodzaju ustępy odprawy *Przedświtu*, podpisanej przez p. W. Piekarskiego: „Marx w rozmowie z Weitlingiem, absolutnie nie zgadza się na to, *aby ciężka głupota mogła kiedykolwiek ludzkość zbawić*... Mocnośmy przeświadczeni, że i „ugnębione nacyje“ wyjątku tu nie stanowią, co warto wielu „federalistom“ na wieczne czasy dobrze zapamiętać.

„Literata“ z *Pracy* mając się widocznie za „tuzinkowego socyalistę“ zgodnie z opinią Marxa w „pokątne nawoływanie do buntów“ się nie bawi, ale ma się natomiast za nietuzinkowego „krytyka“ i w tym kierunku podnosi bunt przeciwko „utopijności“ Marxa. I rzeczywiście, trzeba być nietylko nietuzinkowym „krytykiem,“ ale i *nietuzinkowym osłem* jeszcze, aby z racyi *federalizmu* czepić się *ekonomicznej* teoryi Marxa i orzec, że socyalizm jego jest „zdaniem naszem“ (co za zdanie!) *po prostu utopią!* Ażeby na coś podobnego się zdobyć—jeszcze raz powtarzamy—trzeba być nietuzinkowym osłem, rzadkim nieukiem i jeszcze rzadszym błaznem... A i odwagi cywilnej trzeba do tego sporo... *Szkoda jedynie, że braknie jej szan. „federaliście“ na występowanie bez cudzej skórki!*

Polemizować poszczególnie z głupstwem i wołającemi o pomstę do nieba absurdami „krytyka“ z *Pracy* wcale nie myślimy — polemika z zarozumialstwem idyotyczności nie sprawia nam satysfakcyi. Szkic, który niżej drukować rozpoczynamy dostateczną będzie dla *Pracy* odprawą.“

Nieco dalej znowu:

„Wolna wola oszustwu lub idyotyzmowi obzywać wyznawane przez nas zasady, jako „utopię po prostu,“ o ile nie pozwalają się one użyć za środek dla wszelkich „federalizmów“ oraz o ile są one równie „jak Bismark lub niemieccy kulturträgerzy“ wrogiemi dla specyalnego „panslawistycznego federalizmu“ lub „federalistycznego panslawizmu.“

Wobec czegoś podobnego znamy jedną tylko alternatywę: albo to nikczemność oszustwa i zdrady interesu ludowego, albo idyotyzm i jeszcze raz idyotyzm i zawsze idyotyzm! *Aut-aut*... My wszakże ani wjednym, ani w drugim kierunku praktykować nie mamy impetu i to ani na rzecz narodowości „historycznych“ lub „państwowych,“ ani na rzecz „nacyj ugniecionych.“

Jeśliśmy mieli dość odwagi pogruchotać „państwowo-historyczne powagi, wołając: „Precz z Polską!“ przed socyalizmem, jako sprawą polskiego ludu, stać nam jeszcze odwagi a może i sił na oczyszczenie dróg jego na naszym przynajmniej gruncie z wszelkiej panslawistycznej psiarni...“ (Bagatela!)

Nie uważam ani za właściwe, ani pożyteczne zaczepiać jakąś inną, niż lingwistyczną stronę działalności *Przedświtu*; ale zdaje mi się, że jeszcze w takim razie mam prawo zrobić jedną uwagę. W tym samym 16 numerze znajdujemy taki ustęp: „Pan Wścieklica, o którym mieliśmy już szczęście wspominać, w „Rojeniach socyalistów polskich“ (warszawskie *Ognisko*), opierając się na konfidencyonalnych doniesieniach“ itd. (co za niezwykła względność, nie użyto wyraźniejszego, denuncyacyach).“ Widząc tak dobitnie przedstawiającą się w *Przedświcie* pogardę i wstręt do insynuacyi, domyślam się w tym wyrażeniu tylko kwiatka stylowego. Mając dużo miejsca i mało treści w piśmie, możeby przecie nie chcieli puszczać się na domyślniki lub na niesmaczne i dowodzące bezsilności: wiem i ty wiesz, ale nie powiem głośno. Przytem logicznie *konfidencyonalna denuncyacya* w tym razie nie ma sensu, a przecie... czyżby *Przedświtowi* zabrakło odwagi powiedzieć wyraźnie wszystko i nazwać de-

---

Maciej Mraz, powstawszy z choroby, zaczął znów wychodzić za roślinami i owadami. Lecz nie tak jak wprzódy; stromy wierzchołek już go odstraszał, na śmiały skok przez potoczek nie odważył się. Po wycieczkach uczuwał zmęczenie i słabość.

Marysia przełamała zwykle odosobnienie Orzechowańskich, pan rechtor bywał tam dość często na obiedzie.

— Gdy już mamy w domu dziewkę od krów — mawiała złośliwie pani Orzechowańska — dla czegóżbyśmy nie mogli mieć i kantora (organisty)!

Herma zachowywała się względem niego mniej poufale, lecz za to z niezmiernym szacunkiem.

Klenner rozzłoszczony do żywego opuścił dwór i obmawiał po okolicy, co tylko wlazło. Oddychał zemstą przeciw rodzinie, w której dostał odprawę.

Marysia siedziała w altance i biedziła się nad haftem. Aureli patrzył na jej palce zaczerwienione i grube. Twarz dziewczyny trochę przybladła, lecz nie straciła świeżości pierwotnej. Wielkie kędziory wiły się bujnie naokoło główki.

— Jak zręczna jesteś Marysiu — rzekł panicz i usiadł przy dziewczynie spoglądając na jej robotę — pięknie haftujesz. Gdzieś się tego nauczyła?

— Hermuszka mi to pokazała. Ach! jakto pięknie? Więcej porzę niż haftuję.

— A umiesz już te słówka, com ci napisał?

— Jeszcze nie wszystkie. *Ablak* — okno, *széna* — siano, *pinze* — piwnica — te są łatwe.

— Jakie masz piękne włoski — mówił Aureli i pogłaskał ręką po silnym warkoczu. Marysia nie broniła.

Ręka Aurelego opadła na ramię dziewczyny. Ona haftowała dalej.

— No daj przecież pokój tej robocie, Marysiu, lepiej pogawędźmy sobie. Ja tak lubię słuchać twej mowy.

— Tak a potem się panicz ze mnie wyśmiewa, jak wielmożna pani, albo pan Klenner.

— Nie, nie Marysiu! Mama się nie śmieje a Klenner już chyba do nas nie przyjedzie. Ja się już także nie śmieję. Masz oczy tak jasne, życzliwe a usta tak świeże! Z czego tu się śmiać!

Jesteś bogata i dogonisz z łatwością to, coś zaniedbała. Tu niema powodu do śmiechu!

— Doprawdy? — spytała Marysia z radością żywą i spojrzała szczerze w oczy Aurelemu.

— Doprawdy, doprawdy! Aby ci dowieść, że nie mam wcale ochoty śmiać się, pozwól mi pocałować twą miłą twarzyczkę.

Aureli nachylił się i pocałował.

Marysia zarumieniła się i przesunęła ręką po twarzy. Nie rozumiała go. Tyle razy pobłądziła już w tym domu i w tych stosunkach dla siebie niezwykłych, że się bała opierać natręctwu Aurelego, aby znów nie popełniła jakiegoś błędu. Co na to powie Herma? — pomyślało dziewczę.

— Widzisz, że cię nie lekceważę, Marysiu. Ty już nie jesteś wiejską dziewczyną, tyś panna, tyś nasza. Aureli siadł bliżej, Marysia odsunęła się.

— Czy się mnie boisz! A cóżem ci kiedy złego zrobił? Ja chcę twego dobra, tylko dobra. Tyś niedoświadczona, prosta; ja chętnie ci dam radę a nawet będę cię bronił od połajań lub żartów. Zawierz mi.

Marysia szczerze się ucieszyła ze słów Aurelego i spojrzała nań z wyrazem wdzięczności na twarzy.

On pochwycił ją za główkę i pocałował w usta.

— To nie przystoi — rzekło biedne dziewczę, słabo się broniąc pieszczotom. Krew jej wystąpiła na twarz a serce silnie bić poczęło. Paniczu, paniczu — wyrzekła drżącym głosem — co na to powie Herma, gdy jej powiem, że panicz mię całował; a co powie papa?

— Dziecko jesteś, czyż o wszystkiem wiedzieć mają Herma i papa?

Teraz dopiero wyjaśniło się Marysi, że rzecz nie jest tak prostą i niewinną, gdy panicz nie chce, aby się o tem siostra dowiedziała. Słabe podejrzenie powstało w niej.

Aureli zapewne to spostrzegł bo ograniczył się tylko na słowach. Nagadał wiele frazesów słodkich, pochlebnych. Marysia słuchała go w milczeniu i uspokoiła się.

Wieczorem, kilkakrotnie miała już wyznanie na języku... Herma znała wszystkie jej myśli i uczucia; dla czegóżby więc miała taić przed nią scenę w altance? A przecież jakieś dziwne uczucie zamknęło jej usta. Przy wieczerzy niemogła znieść spojrzeń Aurelego, często się na niej za-

nuncyanta po nazwisku. Względność dla tego gatunku osobistości, fe, toć przecie brzydka cnota.

K. T.

SNY I WIDZENIA J. SŁOWACKIEGO

(opisane na podstawie autografów poety).

II.

I Słowacki, którego mistyka przybierała bardziej marzycielski, niż filozoficzny kierunek, miewał ciągle sny w tej epoce. Były one dla niego pomostem, przez nie utrzymywał związek ściślejszy ze światem duchów spirytualnej filozofii i religii. Oto jak sam powiada (*Listy*, II, 163) w tym względzie o stanie duszy swej matki: „Te sny, które mówisz, schodzą do ciebie i mocniej się czuć dają (pierwsze objawy mistycyzmu); dowodzą mi, że odzyskujesz związek z prawdziwym światem duchów, którego my jesteśmy członkami, a czasem tylko narzędziami, nic 'niewiedzącemi." Poeta-mistyk nie odrywa, tak jak my, marzenia od rzeczywistości. „Nie mogąc zupełnie opisać wszystkich chwil jawy i czuwania," spisuje swoje sny, które mają stroskanej matce dać wyobrażenie o jego powszednim życiu.

Niektóre z tych marzeń—to rzeczywista poezya. Np. sen o dawnej kochance, podobno Ludwice Śniadeckiej: „Niedawno — pisze do matki (II, 102) — miałem o niej sen śliczny: zdawało mi się, żeśmy się spotkali u stóp wielkich, olbrzymich schodów, w przysionku jakiegoś pałacu. Wiedziałem, że ją tam spotkam, zebrawszy więc całą moc i energię, przystępowałem do niej i spojrzawszy na twarz jej, niestety już zmienioną, założyłem ręce i chciałem do niej mówić. Ale zaledwie pierwsze słowa wyrzekłem, buchnął mi z serca płacz gwałtowny i padłem na schody, jak Dante przed Franceską. Wtenczas ona, stojąc nademną z litością, ręką zdjęła ze swej twarzy tę niby maskę mglistą, która ją była odmieniła i piękniejsza niż dawniej przez kilka chwil patrzyła na mnie. Potem zaczęła iść po schodach zwolna i słyszałem echo jej chodu coraz wyżej niknące, aż nareszcie znikło zupełnie. Lecz ten gest, którym ona z twarzy zdjęła odmianę całą lat i smutków, był zadziwiającej piękności. Tak sen jest czasem cudownym malarzem i moralistą."

Obraz zwolna kroczącej i jak cień znikającej dziewicy, jakby wykrojony z Danta— a to przecież tylko sen, ale co prawda, poety!

Nie wciągam tu marzeń i snów Juliusza, ubranych w cudowną sukienkę poezyi, bo by to mię za daleko zaprowadziło; dla przykładu tylko przypomnę tu ów straszny „znak," o którym mówi zaraz na początku prześlicznej „Rozmowy z matką Makryną Mieczysławską, bazylianką z Paryża" (*Pisma pośmiertne*, I, 187):

„Szedłem (do matki Makryny), ażebym dla mojego [czoła
Wziął uświęcenia od ręki anioła,
Bo mi się w nocy ta ręka czerwona
Pokazywała przeze mgły skrwawiona,
Wyrzucająca takie strachu strzały
Z palców ognistych—że brak na to słowa,
Żem drżał jak Mojżesz—gdyby mu Jehowa
Rękę był swoją pokazał ze skały."

Bardzo charakterystycznym jest następujący sen Słowackiego, zapisany w pamiętniku: „Myślałem (6 stycznia 1844) o matce, ile łez wylała i miałem sen o niej, że ją widzę na Czerczej górze, na samym wierzchu skał, jak fontannę, w kształcie szerokiego namiotu ze spadającej srebrnej wody — cudny namiot łez, abym się pod nim schronił i był nakryty!" (Autograf Słowackiego w Bibl. Ossol. l. in. ręk. 1792 czerwona książeczka).

W liście do matki (bez dat, ale jak się z powyższej notatki okazuje, z drugiej połowy listopada, albo z pierwszej grudnia r. 43) wspomina o tym śnie Słowacki w następujących słowach (*Listy* do matki II, 102):

„Cudowny kilka tygodni temu miałem sen o tobie. Oto śniło mi się, że cię widzę na Czerczej górze na jednej ze skał nad leszczynami, rozszerzoną dziwnie i niby od głowy fontannami lejącemi się okrytą tak, że miałaś kształt srebrnego, szerokiego z wody lejącej się namiotu.

Wytłomaczyłem sobie, że to jest prawdziwy namiot schronienia się z łez, wylanych nademną."

Dalszy ciąg listu tłomaczy nam to widzenie. Od czasu, kiedy Słowacki przejął się zasadami towiańszczyzny (tj. od 41 r.), popadłszy w życiu i poezyi w ten mistyczny i spirytualny kierunek, w którym trwał *niezmiennie* aż do ostatniej chwili, przez te ostatnie ośm lat spokojnego i samotnego żywota, widziała czuła i rozumna matka, jak jej syn marnie ginie. Nadaremnie starała się go z tej drogi odwieść, on uważał za święty obowiązek stać przy „sprawie bożej." Matka więc smuciła się i płakała ciągle, ale syn trwał przy swojem niezmiennie — tylko jako syn kochający myślał nieraz o jej łzach i cierpieniach, których był przyczyną i sprawcą.

Następujące z wspomnianego pamiętnika wydane zapiski poety podaję tu bez żadnych komentarzy, bo mówią same przez się wyraźnie o charakterze widzeń poety. „D. 8 marca 1844 *). Śnił mi się nieboszczyk książę Orleanu, jak gdyby wchodził na wschody Tuilleryjskie i ze mną mówił, a potem imię swoje zapisał do pugilaresu... Miałożby to być, że mię ten duch chce do swego zboru przyciągnąć (w to wierzyli towiańczycy). Uderzył mię on po ramieniu i pytał, czy się tem dotknięciem nie obrażam; odpowiedziałem mu wierszem Caldeꝛona, że król nie może urazić."

„Dnia z 3 na 4 kwietnia (1844). Sen o łabędziach, których białość mię zdziwiła. Wstawszy myślałem, że jest rozkaz, abym poszedł do Tuilleriów, gdzie łabędzie pływają. Jakoż skoro nad sadzawką stanąłem, ptaki te z drugiego końca płynęły do mnie i w takiej zupełnie pozycyi zatrzymały się, jak owe we śnie widziane—ale nic więcej. Wieczorem dopiero zrozumiałem, że to jest przypomnienie się duchów Julii i Jasia; bo Julia łabędzie miała i karmiła."

*) Daty i wyrazy, wzięte w nawias w tych wszystkich zapiskach poety po raz pierwszy tu wydanych, dodałem sam na podstawie dokładnego oznajmienia się z wewnętrzną i zewnętrzną stroną autografów Słowackiego.

---

trzymujących. Jakiś grzech ciężył na jej duszy.

Strapienie nie minęło nawet nazajutrz rano. Koło południa wyszła do parku, siadła w gęstwinie na trawniku i zamyśliła się. Gąszcz zaszeleścił a przed nią — — stał Janko Olsza.

— Dzień dobry, szlachcianko, dzień dobry — zaczął parobek tonem pełnym goryczy; zapewne mię już i znać nie raczysz? Nie dziw, wszakże już blisko dwa miesiące jesteś wielmożną!

— Janiczku! — zawołała Marysia głosem serdecznym i radosnym, wyskakując z trawnika.

— Precz... nie jestem już twym Janiczkiem! Moje łachmany nie przystają do twoich pstrych gałganków, ani moje grube ręce do twoich jedwabnych! Ja jestem głupi, wiejski parobek, a ty szlachcianka! Ach! jakżeś ładna, jak ładna! Jak łatwo zapomniałaś o głupcu, co był dobrym dla córki zakrystyana! Teraz to co innego! Pijesz kawę, chodzisz w pańskich sukniach!

Marysi silny ból przejął serce. Zapłakała w głos.

— Cóżem ja winna, przecież o tobie nie zapomniałam; będzie nam dobrze, bo ja mam pieniądze!

— Gadzina! gadzina! jak to syczy!... A miejże sobie te pańskie zabawki, ciesz się swym nalepionem państwem!

Marysia chciała go objąć za szyję. Odepchnął ją gwałtownie, o mało co nie upadła. Podniósł rękę jakby do uderzenia.

— Bij Janku, bij, jeśli zawiniłam—prosiła dziewczyna, zalewając się łzami.

— Nie, nie wartaś moich pięści! Jak pies obchodziłem naokoło pański dwór; zapewne, mówię, ukaże się miłościwa pani. Ani śladu! Ale teraz już dobrze, dostałem się wkońcu; wiedz, że dziś albo jutro, albo później zapieje czerwony kogut na dachu u twego nowego ojca! Ja będę tym złoczyńcą, ja, Marysiu, rozumiesz?! Potem mię schwytają, zakują w łańcuchy, będą bić kijami; potem mię wsadzą do więzienia, pogrzebią żywcem. Za ciebie, obłudnico, za ciebie! Żebyś mię mogła zdradzić, jeszcze raz ci powiadam: ja zapalę to wasze przeklęte gniazdo! Na co załamujesz ręce?

Marysia jeszcze rzuciła się ku Jankowi.

— Ach jakież to śliczne pańskie suknie! To mówiąc, chwycił za suknię i oberwał ją pod szyją. Pierś dziewczyny zabielała w południowem słońcu, którego liczne promienie przedzierały się przez liście akacyj.

— To sobie wezmę na pamiątkę — zawołał, machając kawałkiem sukni — żeś była moją miłą, gdyś jeszcze nosiła stanik i boso grabiła ze mną siano! A teraz adye, bogata, fajn frajlino!

— Na mękę Chrystusa, Janiczku przebacz mi, przebacz mi! — wołała Marysia ukląknąwszy w boleści i żalu. Śliczna jej głowa opadła na trawę. Głośny płacz rozlegał się w gęstwinie.

— Tak, tylko krzycz, krzycz, żeby przyszły te poganki i wypędziły mię psami z ogrodu, jak kiedyś ciebie... tak ciebie! Tyś im wszystko przebaczyła, ale ja przysięgam, że im nie przebaczę! Widzisz ten nóż!

I wyciągnął z kieszeni wielki nóż.

— Niechaj przyjdą ci nowi twoi przyjaciele!

Marysia przycichła, tylko stłumione bolesne łkanie odzywało się z jej piersi. Obecnem swem położeniem była ogłuszoną i zupełnie wytrąconą z kolei życia. Wszystko, czego doświadczyła ostatnimi czasy, było tak nowem, niesłyszanem i niewidzianem, iż nie dziw, że nieco zapomniała o Olszy, chociaż codzień pocieszała się tem, że teraz już jego matka nie będzie mogła wymyślać jej od żebraczek i przybłędów—„stąd ręka, stamtąd noga." Inaczej rzecz miała się z Olszą, który to tylko czuł i wiedział, że jego Marysia została panią i że ją utracił. Zapewne właśnie ten niezwykły los dziewczęcia rozpłomienił jego przychylność dla niej w miłość namiętną. Opór i trudności zamieniają często uczucie prostej sympatyi w rzeczywisty żar namiętności.

Oczy Janka błyskały dzikim gniewem, żal, uczucie głębokiego poniżenia, zrobiły dobrego chłopaka szaleńcem.

Marysia objęła go rękami za nogi. Wyrwał się jej gwałtownie i znikł w gęstwinie. (D. n.)

„Opowiadała mi pani R... o swoim śnie, że widzi zawsze niby zamek starożytny, gdzie jej pokazują szufladę pełną starych pieniędzy, i mówią, że to do niej należy — potem ją fale porywają, z którémi ona walczy. Cudne wspomnienie, pewnie była dziecięciem pieszczonem, bogatem, które rodzice psuli, pieniądze jej pokazując—potem utopiła się może w podzamkowej rzece, może ją w wodę zbójcy rzucili... Teraz ta pani, cudnej piękności, młoda zupełnie, jak gdyby za expiacyę, z nędzą walczy, dziatki sama wychowuje i przyznaje się, iż w sercu tęskni za majątkiem... że jej się zdaje, iż z pieniędzmi byłaby szczęśliwą— i sen ów przemawia do niej napróżno, albowiem z trudnością poddać się jej woli bożej przychodzi.“

„Olesia (między 4 a 14 kwietnia 1844) raz przeszła przez mój pokój (naturalnie we śnie), a za nią jakiś żyd stary z dwoma synami, który mię prosił, abym tym chłopakom zaśpiewać pozwolił; jakoż usiedli obaj, jeden z tyłu łóżka za głową moją, drugi w nogach i śpiewali coś podobnego do dumy ukraińskiej; ale jakim głosem, tego wyrazić niepodobna! Więc Olesia sprowadziła mi jakiś chór izraelski.

Sen Pelagii: „Człowiek jakiś, którego zowią sprawiedliwym, przejeżdżający konno przez ulice—lud klęka—a on mieczem na synka jej pokazuje,.. a ona pełna trwogi tuli go do serca...“

„Z 14 na 15 kwietnia (1844). Jechałem w wózku na placu asfaltem wybrukowanym... wokoło była ciemność i niby noc dżdżysta... wózek mój naprzód pudel ciągnął i dwa wróble, potem pudel zniknął i został sam jeden wróbelek lewy, który długo biegł, jak gdyby już przed rozpędem wozu uciekając... wreszcie spadł i przejechałem go, złamawszy mu nóżki....“

„Z 30 kwietnia na 1 maja (1844). Śniło mi się, że jakaś autorka *Marachta* (duch indyjski) deklamowała *Księdza Marka* i *Księcia Niezłomnego*, mówiąc, że cudowna poezya. Nadedniem zaś Mickiewicz tosamo powtórzył o *Marku*.

„Z 27 na 28 czerwca (1844) Sen smętny o matce mojej, który da Bóg będzie tylko przestrogą dla mnie.“

(Tu następuje kilka wierszy, nienależących do rzeczy).

„Dnia 15 kwietnia 1845. Sen dziwny — niby mnóstwo koni białych jak srebro nad dachem zamku wielkiego ulatywało w powietrzu, ciągnąc niby w szafirowy błękit gromadą łabędzią — lecz te konie unieść się nie mogąc, zleciały wielką chmurą na dół, aż na ziemię i podniosły kurzawę grubą, w której zniknęły z całym obrazem.“

„Z 20 na 21 kwietnia (1845). *Widzenie na jawie*: ognia ogromnego nad głową — kopuły niby niebios całych ogniami zapełnionej, tak, że w okropnym przestrachu mówiłem: „Boże ojców moich — zmiłuj się nademną“ — i niby z chęcią widzenia Chrystusa przeszywałem wzrokiem te ognie, które się odsłaniały — i coś niby miesiąc biały ukazało się w górze — nic więcej. „Boże ojców moich, bądź mi litośny!“ (Słowa, zaznaczone cudzysłowem, pisane drżącą ręką).

„Z 28 na 29 kwietnia 1846. Sen: Jakiś Białecki o pół do pierwszej w nocy... zatrwożył mi ducha... tak, żem krzyknął — ale to czary Białecki.. a on zaprzeczył... światło jakieś widziałem po pokojach, w których świecy nie było...“

„Z 25 na 26 marca 1847. Sen wytłomaczony przez śmierć panny Mar.“

„Z 26 na 27 (marca 1347). Sen o jakimś umarłym i o pakietach dyliżansowych.“

Wszystkie powyższe notatki, wydane wiernie z czerwonego raptularza (str. 27 do 29), pisane są ręką Słowackiego rocznikowo, a nie odrazu w jednym czasie, prawdopodobnie zaraz następnego dnia po tej nocy, w której mu się coś śniło, albo może i tego samego dnia. Pismo nie bardzo czytelne, ale nigdzie nie mazane, każda notatka pisana jednym pociągnięciem pióra.

W drugim autografie. t. j. dzienniku, czytamy od r. 1847 następującą notatkę na str. 229.

„W tymże dniu (25 października 1847) jeden z przyjaznych mi, a najtwardszych w materyalizmie, list o śmierci ojca odebrał i zwierzył mi się ze łzami, że przed kilkunastu dniami, o poranku, ducha ojca swego w półśnie widział, który wszedł i rzucił mu się na ramiona, niby błogosławiąc—z przebaczeniem.“

Jeszcze parę słów o halucynacych Słowackiego.

Wiadomo, że wyobrażenia, wywołane zwykle odpowiedniemi pobudkami zewnętrznemi, budzą się bez tej podniety zewnętrznej z taką energią i dokładnością, jakie istotnemu wrażeniu towarzyszą. Wyobrażenie osiąga czasem tę samą czystość, tę samą obfitość drobnych i skombinowanych wzajemnie szczegółów, tę samą siłę a częstokroć i tę samą trwałość. Wtedy stanowi, zarówno jak wrażenie, podstawę wyższych kombinacyj, rozumowań i wniosków, jak ono wywołuje te same wrażenia i te same funkcye instynktowe, organiczne i mięśniowe, słowem posiada te same, co wrażenie, własności razem z towarzyszącemi mu okolicznościami i następstwami (Taine, *Intel* II, 53). Ta właśnie moc wyobrażenia, zwłaszcza że było strasznem i nadzwyczajnem a powstało w gorączkowym i uprzedzonym umyśle Słowackiego, sprawiła, że poeta brał je za istotne wrażenie. I na tem polegają jego halucynacye — zupełne złudzenia. Nie trzeba sądzić, że tylko nieudolność rozumu była tego przyczyną. Duch czasu, w którym panował taki sposób pojmowania objawów przyrodzonych, jego własny mistycyzm i spirytyzm, w których zaczarowanym kole obracały się wszystkie wyobrażenia poety, jego stronność sądu, obałamuconego fałszywemi teoryami i uwiedzionego panującemi nad nim namiętnościami, a wreszcie brak trzeźwej, zimnej krwi i objektywności—przyczyniły się wiele do tego, że rozmarzony poeta dał się uwieść zawodnym świadectwom zmysłowym i uwierzył święcie, iż to, co się działo w jego umyśle, objawiło mu się cudem prosto z nieba. Słowacki popadł tu w obłęd mistyków, tak silnie sobie *wyobrażających* rękę Jezusa Chrystusa, że odczuwają w własnem ciele przebicie boku i boleść pięciu ran Zbawiciela.

Na osobnej kartce spisał w pośpiechu, jak gdyby się obawiał coś z tego „ducha bożego“ uronić albo zmienić, następujące wzruszające widzenie — wyraźny objaw *halucynacyi*: „O Polsko moja — kiedym się wahał z wydaniem tej księgi, a był właśnie w połowie tej ewangelii, która jej ostatnie karty zamyka — coraz mocniej przerażony odpowiedzialnością przed Bogiem, oświecony zostałem ogniami niebieskimi w nocy z dnia 20 na 21 kwietnia — i w stanie zupełnie spokojnym — bez najmniejszego krwi poruszenia, ani rozegrzania, przerażon zostałem mocą *Chrystusa już na ten świat nadchodzącego*, przymuszony wymówić słowa, których nigdy w życiu nie używałem. Szelestem ogni tych, wichrem niby bożym zewsząd owiany i zagrożony — prawie umarły... a za zniknięciem onych w jednem oka mgnieniu powrócony zimnej rozwadze... i przytomności... Mówię to... po rozwadze głębokiej, a nie dla chwały własnej — bo cóż jest chwałą robaczka, którego Chrystus Pan raczył mocą niebieską przerazić — mówię — abym nie zataił przed światem mocy bożej — pewny, że to wyznanie w wieku dzisiejszym ujmie mi cześć w obliczu świata, który chętnie one te rzeczy szalbierstwu albo chorobie zwykł przypisywać — sądząc, że ujmują powagi rozumowi i stają na drodze cielesnym i ciągle idącym w górę usiłowaniom narodów...“

Fizyolog wytłomaczy sobie łatwo to zjawisko u poety - mistyka, zatopionego w swym Odkupicielu, którego lada dzień oczekuje i przypisze je głównie *brakowi specyalnego reduktora*, to znaczy: wrażenia przeciwstawnego, prostującego wyobrażenie—i tym przemianom samorodnym, *automatycznym*, wskutek czego nam się wydaje, że nie jesteśmy twórcami, ale widzami naszego wyobrażenia.

Po *dokładne* wytłomaczenie fizyologiczne halucynacyi, co nie jest już zadaniem historyka literatury, odsyłam do znanych dzieł (Brierre de Boismont *Des hallucinations;* Baillarger *Mémoire sur les hallucinations* itp.)

Na zakończenie podam tu jeden przykład *endymicznego złudzenia*, przywiązanego do pewnej miejscowości, który się wprawdzie nie wydarzył samemu Słowackiemu, ale o którym opowiadał Szokalskiemu, zapatrując się na nie zapewne przez własne okulary.

„Pewien mój znajomy — mówi Słowacki — młody obywatel ożenił się był ze swą kuzynką, z którą się razem wychował. Ale nie długo się nią cieszył; umarła bowiem przy pierwszym połogu, a za nią poszło też wkrótce i nowonarodzone dziecię. Znękany tem podwójnem nieszczęściem, wypuścił majątek w trzechletnią dzierżawę, zamknął dwór, nakazując, ażeby nikt do jego mieszkania nie wchodził — i wyjechał. Wszelako ani gwarliwy Paryż, ani podróż po Syryi i Egipcie, ani pustelnicze niemal życie w jednym z rzymskich klasztorów— nie mogły mu w myśli zatrzeć jego towarzyszki. Powrócił więc do kraju, postanowiwszy żyć dalej na miejscu dawnych pamiątek. Było to w sierpniu z południa, gdy pocztowa bryczka stanęła przed opuszczonym dworem. Wszyscy byli u żniwa, stary tylko sługa wyszedł sam jeden naprzeciw i otworzył pokoje, do których podczas niebytności pana nikt zupełnie nie wchodził. Chłodne, jakby zapleśniałe powietrze owionęło zewsząd i kilka spłoszonych nietoperzy zaczęło latać po sieni. Ciemno było wszędzie i tylko przez okiennic szpary wkradały się jaskrawe słońca promienie i padały na podłogę grubym okrytą pyłem. Gospodarz szedł prawie po omacku, a w tem naraz staje przed nim biały jego żony obraz z dzieckiem jakby trzechletnim na ręku, które ku niemu wyciąga swe rączki. Na ten widok mąż zapomina o wszystkiem, biegnie w objęcia syna, ale matka wyciąga rękę, jakby go zatrzymać chciała i podnosi ją potem zwolna do góry, jakby na okazanie, że tam go oczekiwać będzie. Tu dziecko tuli się do jej łona i wszystko w powietrzu znika. Wtedy dopiero przyszło na myśl przychodniowi, że ta, którą zobaczył, już od lat trzech przeszło nie żyje, ale w tem mącić mu się w głowie zaczęło i upadł bez przytomności na ziemię. Omdlenie to było początkiem długiej i niebezpiecznej choroby; przebył ją jednak szczęśliwie, ale *do śmierci zachował to przekonanie, że mu się zmarła żona istotnie była objawiła*.“ (Szokalski, *Fantazyjne objawy*, I, 426).

Przykład ten endymicznego złudzenia da się łatwo wytłomaczyć. Miejscowy wpływ obudził w przychodniu rożne wspomnienia i wzruszenia, które mimo jego wiedzy podnieciły fantazyjne obrazy z przeszłości, a te się znów zmysłowo przed nim objawiły. A że z miejscowością wiązała się droga sercu pamiątka, stąd wyobraźnia jego, mając z góry niejako narzucony temat, stosuje się do niego, rozwija go i zmienia, wywołując odpowiednie złudzenie. Być może, że jego stan umysłowy był tak nastrojony wybuchem choroby, które zaraz po tem zjawi-

sku nastąpiło; ale to pewna, że nie pozostało bez wpływu to miejsce, będące tłumnie dawne uczucia i myśli. Może podczas letniej, męczącej podróży nasunęła się spieszącemu do domu myśl, że gdyby żyła ukochana żona, to by ją był spotkał u wejścia z trzechletniem dzieckiem na ręku, i że to dziecko z uśmiechem do ojca wyciągnęłoby ręce. Ale tu znowu przychodziła myśl druga, że już wszystko stracone i że tylko w niebie mogą się jeszcze spotkać. Te i tym podobne myśli, skupione i udramatyzowane w jeden obraz, utworzyły powyżej opowiedziane przez Słowackiego widzenie.

H. Biegeleisen.

Prasa peryodyczna.

Biblioteka Warszawska, marzec i kwiecień.

W zeszycie marcowym odznacza się praca dra T. Ziemby p. t. „Mickiewicz pod wpływem profesorów wileńskich.“ Każdą notatkę, rozjaśniającą proces kształtowania się wielkich umysłów poetyckich, witamy z zadowoleniem — i ten więc przyczynek do charakterystyki największego naszego wieszcza, rzucający wiele światła na przebieg kształcenia się jego w uniwersytecie wileńskim, zasługuje na uznanie. Chcąc wykazać, jakie strony umysłu Mickiewicza głównie podlegały wpływom zewnętrznym i co zawdzięczał on mistrzom swoim, autor z konieczności potrącić musiał o stan ówczesny *alma mater* i określić bliżej głównych jej przedstawicieli. Mamy więc tutaj sposobność przyjrzenia się bliżej postaciom stryja Adama, ks. Józefa Mickiewicza, ks. Stanisława Jundziłła, a głównie słynnego Groddecka, Borowskiego i Lelewela. Sylwetki tych trzech ostatnich osobliwie jaskrawo ilustrują korzyści, jakie z ich wykładów osiągnął Mickiewicz. Dr. Ziemba wysokie jego wykształcenie klasyczne, połączone z dokładną znajomością języków greckiego i łacińskiego, przypisuje głównie wpływowi uczonego Groddecka, a oczytanie w literaturze nowoczesnej i ścisłe przestrzeganie kunsztowności wiersza—wykładom i osobistej przychylności Borowskiego, który wspierał go bezustannie mnóstwem trafnych i niezmiernie krytycznych uwag i praktycznych rad. Opierając się na licznych aktach uniwersytetu wileńskiego z Biblioteki Jagiellońskiej, autor dowodzi jednocześnie, iż Mickiewicz przez czas jakiś był słuchaczem nauk przyrodniczo-matematycznych, że zdradzał w dziedzinie tej niemałe zdolności i zamiłowanie, potęgowane jeszcze przez znakomity talent popularyzatorski Jędrzeja Śniadeckiego.

W pracy p. t. „Nowy przemysł szklany“ p. B. P. zaznajamia ogół z najświeższemi zdobyczami tej gałęzi. Po krótkim zarysie historyi szkła, następuje opis ważniejszych ulepszeń i wynalazków. Są tu uwzględnione rozmaite sposoby hartowania szkła, podane przez de la Bastea, Siemensa i Siegwarta oraz najnowsze ich zastosowania.

Z licznych a drobnych — nieprzechodzących zakresu zwyczajnych wzmianek literackich — rozbiorów, zaznaczyć możemy tylko żywo skreślone streszczenie świeżo wyszłego w Paryżu dzieła o Franciszku Dyonizym Kniaźninie. Autorem tej na obcym gruncie wyrosłej publikacyi (*Pierwszy Romantyk*, Paryż, 1883) jest Adam Rząrzewski.

Pragnąc obznajmić publiczność polską ze stanem tak głośnej w ostatnich czasach sprawy tunelu pod cieśniną kaletańską, p. Edmund Naganowski podaje zarys historyi tego wielkiego przedsięwzięcia i zastanawia się szeroko nad pobudkami, które skłaniają anglików do przyjęcia wręcz wrogiej postawy wobec projektodawców, a opierając się bądź na własnem rozumowaniu, bądź na odezwach prasy brytańskiej i znakomitych przemysłowców, dochodzi do stanowczego wniosku, że obawa synów Albionu i wstręt ich do bliższego połączenia się z lądem stałym Europy są najzupełniej uzasadnione. Przyczyna najgłówniejsza protestu wypływa z pobudek wojennych i jako taka wywołuje mnóstwo politycznych broszur, usiłujących wykazać, że tunel łatwo stać się może groźnem narzędziem w ręku możliwych nieprzyjaciół. Artykuł p. Naganowskiego napisany gruntownie, lecz przedmiot jego zanadto jest od nas oddalonym, by mógł zająć szersze koło czytelników.

W drugiej, godniejszej uwagi pracy, p. t. „Dramat społeczny niemców po r. 1840“ p. Teodor Jeske Choiński podaje zarys owej doniosłej dla dziejów niemieckiego ducha i rozwoju społeczno-politycznych idej szkoły pisarzów, którą jeden z jej przedstawicieli zjednoczył i uwiecznił mianem „Młodych Niemiec.“ Temat to bezwątpienia ponętny i wdzięczny. Osobistości takie, jak Heine, Börne, Wienburg, Mundt, Gutzkow, Laube i Hebbel zwabić mogą każdego; szkoda tylko, że również każdego, nieobałamuconego chorobliwem wsteczniсtwem, niechybnie rozczarować musi ton, wiejący z sądów o niektórych najgłośniejszych umysłach. Stosuje się to mianowicie do Heinego i Börnego. Autor odmawia im z góry wszelkich zasług w dziejach literatury niemieckiej, dlatego, że są żydami i zasadę tę ryczałtowo rozciąga do wszystkich pisarzów semickiego pochodzenia. Wycieczka ta żywo stawia nam przed oczami inną widownię, na której p. Choiński, *opancerzony* pseudonymem, systematycznie pracuje nad... zniesławianiem własnego, skądinąd zasłużonego nazwiska. Można się z p. Ch. chętnie zgodzić, iż współcześni publicyści niemieccy żydowskiego szczepu zrobili z prasy zyskowną fabrykę makulatury często niecnej, lecz niepodobna wstrzymać się od uśmiechu politowania, słysząc np., że „semici spryt kupiecki ojców swoich przenieśli i tam, gdzie zwykle tego „talentu“ bardzo mało“ lub, że „Heine posiadał niekłamany (!!) talent poetycki!“ Gdyby kto chciał zasadę odwrócić i powiedzieć, że wszyscy spekulanci literaccy są pochodzenia semickiego, wypadłoby, że i ci, co różnym, sprzecznym bogom się kłaniają i tyle pism wodą, chociaż w tym razie destylowaną, zalewają—do rasy Mojżesza należą...

W pracy swej p. Choiński graniczną linią oddziela okres burzenia dawnych sztandarów od okresu „budowania i tworzenia.“ Prócz Heinego i Börnego, zaliczeni są tu do ruchu przeczącego teoretycy nowej szkoły. Ludolf Wienburg pragnął połączyć życie z poezyą w jaknajściślejszą harmonię, czyli osiągnąć to, do czego dawniej wzdychali romantycy — chciał za pomocą reform wychowawczych przemienić państwo na jakiś całokształt estetyczny; widać w nim pewne powinowactwo z Schellingiem. Wraz z nim z katedry głosił hasła nowej szkoły T. Mundt, napół uczony, napół belletrysta, a właściwie ani jeden ani drugi — zasłużył się tem, że rozbudził w społeczeństwie większe zamiłowanie do literatury nadobnej. Tęż samą tendencyę krytyczną ubierali w szaty powieściowe Henryk Laube i Karol Gutzkow. Pierwszy, twórca „boskiego grubiaństwa“ z początku smagał wszystkie powagi z bezprzykładną śmiałością, lecz w wieku dojrzalszym upamiętał się i ustatkował. Drugi pozostał swym ideałom wiernym aż do śmierci i przez cały czas działalności nie spuszczał z tonu odwagi i krańcowości. Okres twórczy, do którego w dalszym ciągu swej karyery obaj ci poeci należeli, otwiera Hebbel. Nad nim autor zastanawia się cokolwiek bliżej. Był to przeważnie rzecznik sprawy kobiet i bronił ich praw i pragnień w kilku znakomitych, prawdziwym szekspiryzmem zaprawionych tragedyach i należy do najgłębszych nowoczesnych dramaturgów germańskich.

N. H.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

E. Broniewski **Tablice graficzne do dziejów Europy**, obejmujące chronologię osiedlania się narodów, powstawania i upadku państw, kolejnego następstwa przedstawicieli rządów państwowych, z uwzględnieniem stosunków genealogicznych domów panujących, w zestawieniu synoptycznem i społecznem przez szereg ostatnich XV wieków. Warszawa.

Stereotypowa formułka o założeniu, kwitnięciu i upadku narodów stała się niemal szematem, który, zapełniony odpowiedniemi imionami własnemi i datami historycznemi, uchodzi już za historyę. Nowa pedagogika stanowczo odrzuciła ten, bardzo jeszcze rozpowszechniony sposób wykładu historyi i wszelkie metody, usiłujące sztucznie utrwalić w pamięci suche fakty i daty historyczne. Twierdzi ona, że łatwo zapamiętane daty prędko się zapominają, że system nauczania oparty na mnemonice, pozbawia uczniów probierza i nie rozwija ich wcale.

Nienajgorszym ze znanych dotąd metod mnemonicznych jest system starannie opracowany w *Tablicach graficznych* p. Broniewskiego. Pomimo to jednakże bezwarunkowo nie możemy ich polecać młodzieży, zarówno z powodu wyżej przytoczonych ogólnych zarzutów, jak i zbytniej drobiazgowości tablic. Właściwem miejscem dla pracy p. Broniewskiego nie jest stancya uczniowska, lecz ściany gabinetów ludzi, niechcących zaglądać do słowników historycznych. Samemu opisowi tablic można zarzucić niedogodną do czytania formę długich i wąskich arkuszów i wiele błędów korektorskich, utrudniających zaznajomienie się ze szczegółami opisu. Tak np. roku 84, opisywanego w wierszu 13 szp. 1 str. 7, nie ma wcale w tablicy próbnej; wszystko to, co głosi wiersz 14 tej samej stronicy i szpalty o panującym przypuszczalnie od r. 78—89 E'—stosuje się w tablicach do córki C' — panny F'. Opis twierdzi (str. 7, w. 5, szp. 2), że C i C' rozwiedli się ze swemi żonami w r. 42, tablice zaś, że te same fakty nastąpiły jeszcze w r. 37 itp.

L.

St. Grudziński **Poezye**. Warszawa, 1883, str. 201.

Poeta objaśnia, że kiedyś pisywał wiersze ogniste, wierzył, że pieśnią można cudów dokazać („z piasków pustyni potoki rwące wywołać“), że słuchał haseł postępu, tylko nie rozumiał ich, bo „co chwila inna gwiazda go wiodła i gasła.“ Tymczasem „wicher doświadczeń gwizdał nad głową z pogardą.“ Naturalnie z latami przyszło upamiętanie — znikły komety, brane za słońca *na wiarę*.“ Wie on teraz, że słońce, choć stare, świeci jasno i stale, wie, kędy mądrość przebywa, „co jej prawdziwym celem i kresem,“ a choć „z oczu pod bólu ciosem łzy biegą, nie woła w niebo zuchwałym głosem: dla czego?“ Naucza, iż „dobro, piekno i prawda“ biorą początek tam, gdzie mleczna droga, od Ojca, że wszystko przeminie, a On nie przeminie; że Bóg jest przedwieczną przyczyną istnienia, że ostatecznie zbawi i uszczęśliwi ludzkość i że tu jest kres wszelkich kwestyj

i dociekań. Przeciwko wszelkim burzom losu przywdział p. Gr. puklerz wiary, chociaż słyszy śmiechy szydercze, które „jak śpiew (?) puszczyków huczą naokoło“—zupełnie niby w wierszyku Syrokomli:

Gdy kto spyta,
Jezuita
Wyłuszczy
Dla tłuszczy;
A wam w niebiosa
Nie wścibiać nosa.
A cicho, a wara
Jest piekło, jest kara.

Bywają chwile, w których p. Gr. znużony woła: O! dość już! Lecz chwila rozwagi przypomina, że przecież chcąc zwyciężyć, trzeba walczyć. Jednak znów poeta popada w wątpliwość: „a jeśli padniesz?...“ „Może“... lecz wierzy w sprawiedliwość przedwieczną, „której szalami zły los nie kołysze;“ tam bez wątpienia spotka go nagroda. „Dola lichwiarska“ męczy ludzi, zawodzi wszystkie ich nadzieje i pragnienia, szydzi z ich żalu i bólu. Tak jest teraz, lecz kiedyś było inaczej. W wieku „wiary dziecięcej“ ludzie wierzyli, że przyjdzie sąd ostateczny i spyta „kto cierpiał więcej.“ To też, chociaż na ziemi działo się wcale nie lepiej, jednakże „byli mężowie stali, co... na błędne koło fortuny z pogardą zimną patrzali!“ „A dziś! Żebraków tłum lichy, gonim za doli rydwanem i bijem czołem zbrukanem bożkom mamony i pychy.“ Poeta, który za młodu „zdolny był rozbijać głowę o skałę,“ może niewiedzieć, że i dawniej „lichwiarka“ toczyła swój rydwan „wśród nędzy,“ i że w czasie obecnym całe szeregi ludzi „z zimną pogardą“ i ze spokojem zdolni są znosić „ciosy piorunu,“ nie pamiętając wcale na wyroki sądu ostatecznego.

Uwierzywszy, że „ludzkości nie można zbawić frazesem,“ autor obiecuje napoić swe pieśni „miłością wieczną,“ nieść „tym pociechę, co płaczą“ i walczyć „z każdą troską, zwątpieniem, rozpaczą.“ Zdaje nam się, że jeżeli p. Gr. nie mówi, byle mówić, lecz mówi o czemś rzeczywiście istniejącem, to pod „zbawieniem ludzkości frazesem“ rozumie określanie w poezyi tych pragnień i dążeń, jakie rozwój umysłowy Europy wysnuwa i z drugiej strony przedstawienie tych zjawisk życiowych, które społeczeństwu dają materyał dla krytyki jego ustroju. Sądzimy, że takiej poezyi żadną miarą nie można nazwać bezużyteczną. Również doświadczenie wieków dowiodło, że chęć poprawienia ludzi przez nawoływanie ich do uczuć braterstwa, zgody i miłości, są czcze i dziś oznaczają tylko anemię moralną i umysłową. Jakąż pociechę poeta ma dla głodnych i chłodnych? Maluje rozpaczliwy los podrzutka, a w końcu dodaje: „nie będziesz sierotą, matką ci ludzkość, a twym ojcem — Bóg.“ Dziecko umarło rodzicom; strata ta sprawia im najcięższe katusze i bóle, rozbijając ich wszystkie nadzieje i szarpiąc najczulszą stronę serca ludzkiego, miłość rodzicielską. Lecz i tu pociecha gotowa — złączenie się po śmierci ze swym aniołkiem, siedzącym na łonie Boga.

Z kolei zobaczmy, jak wspaniały w tragicznej swej zgrozie motyw życiowy poeta pochwycił, i co z niego zrobił. („Prolog na otwarcie teatru Dobroczynności). Zimą w izbie oświetlonej migotliwą latarką siedzi przy piecu dwoje dzieci, ponury mężczyzna za stołem, ociemniała staruszka przy wilgotnej ścianie, dziecko umarłe na brudnym tapczanie, przy niem matka na klęczkach, a wreszcie na boku młoda dziewczyna. Na pochowanie dziecka niema pieniędzy. Głód, chłód i nieszczęście ścięły wszystkim usta. „Nareszcie dziewczyna, z której twarzy znać, że się coś strasznego w głębi serca waży,“ na ciało wskazując, rzekła: „pójdę, przyniosę pieniądze.“ To było o północy. Zrana dziewczynę widzimy płaczącą przed bramą kościoła — w tem przejeżdża miłosierna hrabina i...

Błogosławieni wszyscy miłosierni,
Albowiem miłosierdzie będzie ich udziałem.

Chociaż są liczne wyjątki, lecz zwykle potęga ściśle artystyczna łączy się z potęgą myśli w pisarzu. Reguła ta znajduje zastosowanie i w danym wypadku. Gdyby np. autor w poezyi „Za Nerona“ psychologicznie pojął i wytłomaczył zapał chrześcian i tę moc, którą otrzymali w chrzcie nowej idei, nietylko by na tem wygrała sztuka, wymagająca właśnie tego, a nie czego innego, lecz nic by i wiara nie straciła. Zamiast podołać tak słusznym wymaganiom artystycznym, poeta bawi się w propagowanie siły wiary, która cud zdziałała. Brak wyjaśnienia artystycznego czuć się daje i w „Zburzeniu Persepolu,“ wierszowanej kronice. Wogóle motywy poezyj p. Gr. robią bardzo smutne wrażenie. Rozsnuwa np. rozmaitego rodzaju myśli żałosne to na tle zachodu słońca, to nocy burzliwej, to sosny, to cierniów, to kosodrzewiny, to nici babiego lata „przędzy Matki Boskiej,“ to wierzby, to róży etc. Albo zadaje sobie głębokie pytania w rodzaju: kto bardziej nieszczęśliwy, czy ten, co ma tylko wspomnienia a stracił nadzieję, czy ten, co nie ma wspomnień, lecz posiada nadzieję tylko; lub, co to jest życie — z odpowiedzią: nie wiem; albo porównywa uśmiechy matki, kochanki i dziecka.

Pomiędzy innymi sympatycznie wyglądają „Hala,“ obrazek ludowy z nad Wisły, chociaż sielankowo traktowany i „Dwie matki,“ obrazek miejski.

Zewnętrzna forma poezyj p. G., jest poprawną. Czasasami trzeba się w słowach kopać, ale zawsze można dojść, co chciał wypowiedzieć autor. Jeśli szczerze pragnie tylko:

„Niech o mej pieśni za całą chwałę
Powiedzą,
Że lata *nisko*, jak ptaszę male
Nad miedzą.“

żądaniu temu możemy całkowicie uczynić zadość.

B.

LIBERUM VETO.

Z promieniami wiosennego słońca. — Wyjątkowi ludzie i wyjątkowe dla nich prawa. — Za co jednych krzyżują, za to do drugich się modlą... — Wół i Jowisz. — Dary iście królewskie w grzeczności panny Reszke, ofierze p. Szlenkiera i obrazie Matejki. — Babel p. Z. — Ekonomiczne niezdrowie. — Przywileje klas i chaos pojęć. — Katarynka i cymbał.

Z promieniami wiosennego słońca zaczęły spływać na nas blaski szczęścia. Przedewszystkiem—jak zapewnia *Wiek*— „stosunki nasze z Chinami“ są wyborne, powtóre — jak pociesza *Kuryer Warszawski* — „interesy Winawera (na turnieju szachowym w Londynie) poprawiają się. Już same te dwie wiadomości wystarczyłyby do rozradowania narodu niepomiernie, a cóż dopiero, gdy nadto olśniły nas „iście królewskie dary:“ panny Reszke i p. Szlenkiera. Panna Reszke na korzyść kasy aktorskiej ofiarowała dwanaście swoich występów. Ponieważ hojnej artystki nie słyszałem, nic przeto nie mogę powiedzieć o „voluminach“ jej głosu. Natomiast pozwolę sobie kilku uwag o „iście królewskim darze.“ Malarze, rzeźbiarze, muzycy, aktorzy, słowem, artyści wszelakiego zaciągu i rodzaju byli zawsze przedmiotem szczególnej mojej czci. Zwłaszcza zaś dzieci Apollina z teatru i estrady. Są to ludzie stanowczo wyjątkowi, do nich nie sięga równość i braterstwo zwykłych śmiertelników, a wolność robi im największe ustępstwa. Taki, który smyczkiem zgrabnie po skrzypcach posuwa lub dobrze twarz wykrzywia, już przed dojściem do pełnoletności ukazuje narodowi swą twarz w licznych ilustracyach, daje materyał do „studyów,“ a gdy przyjedzie z Warszawy do Zwolenia, wszystkie gazety natychmiast uwiadamiają ogół o tym ruchu dostojnej osoby. Raz, odpoczywając w lasku Łapigrosza (miejscowość słynna pobytem pewnego artysty z baletu) myślałem sobie: jaki ja jestem szczęśliwy! prócz mojego najbliższego otoczenia nikt nie wie, że tu leżę, nikt mi nie przeszkadza, cały ogół ciekawych oczu w tęgęstwinę nie zwraca, a tymczasem ów biedny baletnik, który niedaleko mnie pod krzakiem robi pukawki z liści, czuje, że na nim spoczywa z oddali uwaga milionów ludzi. Gdybym służył w wojsku i wysłany został na rekonesans, prosiłbym przed odjazdem: panie generale, tylko nie daj mi do oddziału żadnego artysty, bo Europa wiedzieć będzie nawet o tem, kiedy i gdzie konie napoimy. Niedawno w tramwaju dostrzegłem, że konduktor szepcząc do woźnicy, zwracał mu uwagę na mego sąsiada, który skutkiem tego wydał mi się człowiekiem niebezpiecznym.

— Kto to taki? — pytam przechodzącego konduktora. Nie znapan?

— Zdziebełko.

— Co za Zdziebełko?

— Z chórów...

— A!

Tyle co do równości, teraz kilka słów o wolności...

Chociaż udowodniono, że więcej piórem przynoszę szkody niż pożytku, jestem pewien, że gdybym tam i dla tych zaczął pisać, gdzie i dla kogo śpiewają panowie Wasilewscy, Zakrzewscy itp., odarto by mnie z dziesiątej skóry. Podobny los spotkałby każdego zwykłego śmiertelnika, na którego przypada kolej stróżowania około ojczystego domu. Powinności tej nie podlegają tylko artyści: im wolno grać, śpiewać, malować, rzeźbić wszędzie po za krajem i dla wszystkich, nawet dla tych, którym nie poświęcilibyśmy najmizerniejszego reportera, a prasa nie tylko się nie oburza taką służbą u obcych, ale owszem zawsze czerpie z niej szczególną dumę. Niedawno pewien artysta stanął do konkursu na rzeźbę i wzbudził w rodakach wielki zachwyt; ach — pomyślałem sobie — gdyby Asnyk stanął tamże do konkursu na odę— odrapalibyśmy go ze wszystkich tytułów, a nawet z „naszego.“ Bo siedmioletni skrzypek jest Jowiszem, Asnyk zaś wołem, któremu mniej wolno...

Powracam do „iście królewskich“ darów. Panna Reszke, która jest kobietą zamożną i na chleb u obcych zarabiać nie potrzebuje, gdyż niewątpliwie znalazłaby dostatni u swoich, po wielu latach wędrówki za granicą, odwiedziła swą rodzinę w Warszawie i przy tej sposobności zaofiarowała swój śpiew przez 12 wieczorów na cel dobroczynny. Grzeczność niewątpliwa, ale gdzie „dar iście królewski?“ Naprzód czyj to dar? Słuchaczów teatru, którzy zapłacili za bilety. Co on artystkę kosztuje? Nieco trudu w powtórzeniu dawno wystudyowanych oper. Przynajmniej, że nad taką ofiarą dla „rodzinnego gniazda“ jego ptaki z radości podskakiwać nie potrzebują. Gdy Siemiradzki darował obraz za kilkadziesiąt tysięcy rubli do muzeum narodowego, gdy to samo uczynił Matejko — a, to były dary „iście królewskie,“ bo stanowiły owoc ciężkiej pracy. Niedawno słuchaliśmy odczytów przyrodniczych na korzyść Kasy Mianowskiego, urządzonych przez grono ludzi, między którymi żaden pełną dłonią sypać nie może; nikt w ich ofierze „iście królewskiego daru“ nie uznał, a przecież daleko słuszniej należało się jej to miano, niż grzeczności artystki bogatej, zdala od kraju zbierającej

wawrzyny i w przejeździe tylko śpiewającej na dochód rodaków. Nie mam bynajmniej zamiaru w chórze wdzięczności dla panny Reszke odzywać się przykrym dla niej rozdźwiękiem, owszem w należytej mierze cenię jej drobną usługę, zaznaczam tylko, że soliści tego chóru zbyt wysoko podnoszą głos zachwytu a porwany ich krzykiem ogół, nie rozeznaje dostatecznie ani wartości zasług, ani ich stopnia. W naszych pojęciach zapanował zamęt: obciążywszy całem brzemieniem powinności obywatelskich jedne klasy ludzi, uwolniliśmy od nich zupełnie inne, mianowicie zaś wszelakich „artystów,“ których czcimy za to, że sprzedają się obcym. Nie pobudza mnie do tego zarzutu żaden szowinizm, ale widok ustawicznie omdlewającego w kraju życia artystycznego, które jest ważną częścią składową naszego życia wogóle. Najlepsze talenty wystawiają się na targ europejski, gardzą własnem społeczeństwem, uciekają od niego nie z potrzeby, ale z chęci trzepotania się pod obcem niebem. Opera nasza kocimi głosami wystraszyła już nawet gołębie z teatru, a panna Reszke, Mierzwiński itd. śpiewają we Francyi i Hiszpanii. Nasz dramat nie ma ani jednej znakomitej aktorki, a pani Modrzejewska, uwielbiana i dobrze opłacana przez rodaków, występuje w Anglii i Ameryce. I po co? Ażeby londyńczyków i yankesów rozweselać błędami swej wymowy i do znudzenia pokazywać im suchoty *Damy Kameliowej* lub konanie *Adryanny Lecouvreur*? Pojmuję tych, którzy nie znajdując w kraju albo pola do rozwinięcia swych wielkich uzdolnień, albo możności istnienia, szukają ratunku za granicą. Ale czyż my nie opłacamy aktorek i śpiewaczek? Gdyby wszystkie nasze talenty nie rozpraszały się po całym świecie, lecz pozostawały w kraju, możeby inaczej biło tętno naszego życia, możebyśmy nie czuli co chwila obawy, że omdlewamy, że duch w nas zamiera, że..

Za długo czeka na pokłon drugi „dar iście królewski.“ P. Szlenkier, właściciel garbarni, z powodu swego jubileuszu ofiarował 60.000 rs. dla robotników, którzy przesłużyli w jego zakładzie lat 25. Lat 25!... jabym takich kanonizował! Pisma nasze zapomniawszy o tych kandydatach na świętych, całą parą wyjechały z hołdem dla ich dobroczyńcy. P. Szlenkier jako kapitalista, oceniający zyski, które z 25 letniej pracy czarnych rąk wyciągnął, uczuł w sumieniu swojem potrzebę okazania im wdzięczności. Jest że to z jego strony „dar iście królewski,“ czy też spełniony obowiązek? Trzeba widzieć w ludziach wilków, ażeby się oświadczyć za pierwszem mianem. Co do mnie, chociaż Szlenkierów nie starczyło by nam dla wszystkich palców jednej ręki, wolę powiedzieć, że ów może jedyny nie zdobył się na żaden „dar iście królewski,“ lecz spełnił swą powinność. Nic a nic nie ujmuje to jemu, lecz nie dodaje innym. Bo przecie, jeśli fabrykant sprawiedliwy względem swych robotników jest poświęcającym się dobroczyńcą, w takim razie niesprawiedliwi są rzetelnymi ludźmi? Przepraszam, na taką pobłażliwą etykę zgodzi się—truteń, ale nie pszczoła.

„Iście królewskie dary“ są podobno także główną treścią ostatniego obrazu Matejki. Jeśli wierzyć mamy (często zawodnym) objaśnieniom p. M. Gorzkowskiego w utworze genialnego mistrza krakowskiego, upamiętniającym odsiecz wiedeńską, na szczególną uwagę zasługuje: król Jan, wręczający kanonikowi Denhofowi list do Rzymu, husarz polski, zwijający chorągiew Mahometa dla wysłania jej do Rzymu, szeregowcy, przypatrujący się pakowaniu łupów wojennych, przeznaczonych dla Rzymu i t. d. To były dary „iście królewskie,“ a pojechały do Rzymu bardzo słusznie, gdyż Rzym właściwie odniósł zwycięstwo pod Wiedniem. Nie daremnie nad pogromcą turków unosi się (w obrazie) biały gołąbek...

Taki sam biały gołąbek unosić się musiał nad p. Z. w *Kuryerze Warszawskim*, gdyż szan. ten socyolog, odpierając energicznie mój śmiech z jego dumań nad francuskim projektem tanich mieszkań dla robotników, przemawia wszystkimi możliwymi językami ekonomii politycznej. Czego chce twórca tego Babelu, nie odgadłbym nigdy, gdybym nie widział wyraźnie, że przedewszystkiem chce się wykręcić z architektonicznego kłopotu, w który wpadł, wiążąc bezładnie pojęcia sprzeczne. Zdaniem jego projekt uwłaszczania robotników (za pomocą kredytu i spłat amortyzacyjnych) jest „ekonomicznie niezdrowym (?), bo jednostronnym i z krzywdą całego (!) społeczeństwa faworyzującym (!) nad miarę sił państwa jedną warstwę.“ Ależ szanowny panie Z., chociaż pragnę być jak najgrzeczniejszym, zauważyć muszę, że nawet nasze składki na głodnych szlązaków, kasy rzemieślnicze i wpisy uczniowskie, według tej logiki, były jeszcze bardziej „ekonomicznie niezdrowe“ i „faworyzowały jedną warstwę nad miarę sił“ narodu. Mimo ostrzeżeń, pisanych ręką Baltazarów kuryerowych na ścianie skarbu Francyi, sądzę, że ona łatwiej może udzielić 70 milionów *kredytu* przedsiębiorcom domów robotniczych, niż my 100,000 rs. rocznie *ofiar*. Zresztą, jeżeli p. Z. jest tak zawziętym przeciwnikiem otwierania kredytu państwowego „jednej warstwie,“ czemuż, zamiast go odbierać biednym robotnikom, nie zwróci się przeciw bogatym przedsiębiorcom kolejowym, którzy „najniezdrowiej“ wyzyskują tę żyłę z krzywdą innych warstw społecznych? Wogólności polemika z p. Z. byłaby łatwą, ale byłaby bezowocną, gdyż szan. przeciwnik widocznie od niedawna przeniósł swój geniusz na pole zagadnień społecznych i dobrze się w nich nie rozejrzał. Tak np. twierdzi on, że tamę przeciw wyzwoleniu stanu czwartego stanowi liberalizm. Gdzie? We Francyi, Włoszech, Anglii? Dzwonią, ale nie w tym kościele. Nacyonalno - liberalizm niemiecki, apostołowie manchesteryzmu i rzecznicy interesów wielkiego przemysłu rzeczywiście opierają się temu wyzwoleniu, ale daleko bardziej opierają mu się posiadacze większej własności ziemskiej, których jedynie potężna dłoń Bismarka na niemiłą drogę wpycha. Opozycya zaś postępowców i demokratów niemieckich występuje jedynie przeciw kuciu w ogniu socyalizmu państwowego orężów autokratycznych.

Na pomoc panu Z., który miał prawo bronić swych mniemań, z kanalizacyjnej rury *Kuryera Warszawskiego* wyskoczył ochotnik, który niewyzywany miesza się do walki w nadziei, że ciągłem nadstawianiem swej zuchwałej ciemnoty jakiś siniec polemiczny zyska. Tym razem był tak dalece przyzwoitym, że nazwał przeciwników swego „kolegi z nad linijki“ tylko — „kataryniarzami.“ Moja katarynka wszakże—jak zaznaczyłem dawniej — nie grywa ani zgodnych, ani niezgodnych duetów — z cymbałem.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Litania do mnie, — Fiołek *Słowa*. — Prawdziwa i fałszywa „ślicznotka.“ — Miauczenie niemieckiego kota. — Oszczędności. — Hodowla kur.

— Panie Maryanie, nie pisz tak źle o księżach — mówiła do mnie niedawno jasnowłosa kuzynka, trzymając w ręku oprawne w aksamit „Westchnienie duszy pobożnej,“ z którem, jak sądzi, jest jej bardzo do twarzy.

— Szanowny Redaktorze! fejletonista *Prawdy* rozmyślnie szkaluje nasz stan ziemiański—pisze znów pan Jacenty z Koziej Łapki.

— Panie Bohusz, oszczędzaj też pan naszą burżuazyę — odzywa się pulchny radca handlowy, witając mnie i chowając do kieszeni wygrane na giełdzie pieniądze.

— Poczciwy nasz ludek wiejski ma w sobie wiele zalet, które postępowcy zapoznają systematycznie — czytam w jakiejś gazecie o „zacnym“ kierunku.

— Pozwólcie kolego, wy za czarno patrzycie na nasz stan czwarty — woła znajomy młodzieniec, którego długie, rozrzucone włosy dają do myślenia.

Wysłuchawszy tej litanii, zacząłem z rozpaczy wertować wszystkie socyologie dla wyszukania *stanu piątego*. Przekonałem się niestety, że istnienie jego nawet w przyszłości jest wielce wątpliwe, postanowiłem więc pisać o kwiatach, zwierzętach i kamieniach—nigdy o ludziach.

Zaczniemy od fiołków, chociażby dlatego, że — jak mówi wieszcz Korwin-Kuczyński — „wonią“ one najlepiej. Jeden z nich ukrył się na wiecznie zielonym trawniku *Słowa* i tak rozkosznie „woni,“ że go milczeniem pominąć niepodobna. Jest to podarek wiosenny jakiegoś ogrodnika z Krakowa, jakiejś „Lornetki“ którą snać obchodzą losy naszego egzotyczno-zakrystyjnego patryotyzmu.

Włóżmy „Lornetkę“ do „Perspektywy,“ aby lepiej obejrzeć upominek.

Na dwóch olbrzymich szpaltach gazety, której redakcya nie rozumie, że bywają gorsze apostazye, niż przejście od konserwatyzmu do postępu, rozciąga się barwny, porywający opis... sukien i okryć damskich, użytych ku uświetnieniu zaślubin jednego z tych, których ciemni kmiotkowie zowią „jaśnie wielmożnymi panami“ a ciemni redaktorowie — „przewodnikami narodu.“ Tylko, czytelnicy — bez sceptyzmu, bo „sam hrabia Karol Lanckoroński przyjechał na ten ślub aż z Grecyi.“ Zresztą, „gdy wyobrazicie sobie najśliczniejsze zebranie piękności polskich, najgustowniejsze tualety paryskie, wiedeńskie i (co za łaska!) warszawskie, to już resztę wduszy dośpiewacie.“

I ja zaraz będę śpiewał, tylko „wyobraźę“ sobie: 1) najśliczniejsze zebranie rubli polskich w kieszeniach francuskich i niemieckich modniarek. 2) najśliczniejsze, powiewne i *à jour* utkane szaty studentek polskich w Petersburgu, wesoło przebiegających przy 40-stopniowym mrozie i 3) nimi już *śliczną*, ale pełną romantycznych przygód drogę, którą naszej ubogiej kształcącej się młodzieży trudniej jest przebyć, niż *samemu* hrabi Karolowi przepłynąć z Grecyi do Krakowa.

A teraz będę śpiewał.

Pewien czuły ojciec miał zwyczaj mawiać do swojej trzyletniej córeczki: „moja ty ślicznotko!“ Kiedy jej darowano raz glinianą lalkę, pochwyciła ją w objęcia, wołając bez namysłu: „Ti moje ličnotki.“ Poważna część naszego dziennikarstwa, pielęgnując w nas oddawna uczucie patryotyczne, za jedynie zdrowe jego objawy uznała: gorliwą pracę na polu materyalnego i duchowego dobrobytu; tymczasem trzyletnia córeczka naszej prasy, a przybrane bobo p. Sienkiewicza, mianem tego uczucia obdarza wszelkie krawiecko-arystokratyczne manipulacye. Ależ kochane „Słowo“ moja ty ślicznotko: to nie żaden patryotyzm, lecz brzydka gliniana lalka, której głowę stworzył dobry Bóg na uciechę „społeczeństwa“... paryzkich modniarek, a serce otoczył gutaperką nieprzemakalną nawet wobec łez uboższej braci.

Przechodzę do zoologii. W zwierzyńcu *Berliner Börs. Cur.* brzmi obecnie żałosne miauczenie jakiegoś kota, któremu się nie

podobało, że pazurów swoich nie mógł wypróbować na polskich myszach. Przyczyną niezadowolenia jest zuchwałe postępowanie zakładów fabrycznych Zawiercia, które mają śmiałość nawet u siebie dawać pierwszeństwo polakom przed niemcami. W języku miauczącego osobnika nazywa się to „niegodnym polskim fanatyzmem.“ Racya! Co innego jest bowiem w imię *wyższej* idei kultury wyrzucić kogoś z jego własnej siedziby, albo zabronić mu używać jego własnej mowy, a inna znów rzecz posłać niemca „nach Vaterland“ dokąd sobie iść nie życzy przed naładowaniem kieszeni „barbarzyńskimi“ rublami. Natura odmówiła mi nerwu, odczuwającego rozkosz z oglądania „uczciwie“ pracujących z „młodszą bracią“ przemysłowców i bawełnianych królów; myślę jednak, że gdy starsi zapragną kiedy podzielić się sprawiedliwiej z młodszymi, to niech z tej ich sprawiedliwości skorzysta raczej polak niż niemiec.

Podział taki, jak sądzę, nastąpi nie rychło. Dzisiaj bowiem tylko próżniactwo i chciwość mogą jeszcze na naszym osławionym „gruncie“ rościć jakieś do starszej braci pretensye. Przeciwnie ludzie oszczędni i pracowici dochodzą do znacznych kapitalików. Jeden taki „znaczny kapitalik (2750 rs.) zobaczyła *Gazeta Polska*, zajrzawszy do skarbonki pewnego 60-letniego wyrobnika. Ja również cieszę się mocno z owych „oszczędności“, nie mogę jednak nie smucić się jednocześnie, a to z dwóch powodów. Najprzód żałuję, że Akademia krakowska, korzystając z przerwy między hrabiowskimi ślubami, nie ułożyła już nakoniec dokładnego słownika naszej mowy. Dowiedziałbym się wtedy, co staruszek ów rozumiał przez *oszczędność*, i czy *Gazeta Polska* nie nadużywa tego wyrazu. Powtóre smucę się jeszcze, porównywając ten wspaniały owoc 40-kilkoletniej pracy wyrobnika, z wynikiem 10-cio letnich „uczciwych zabiegów dla dobra choreografii“—rozumie się ojczystej. Wkraczając do zoologii, podzielę się z wami czytelnicy pewną wiadomością ptasią. Oto kraj nasz przestaje być wyłącznie rolniczym. Ziemianie biorą się na sposoby, wprowadzając u siebie hodowlę drobiu. Na początek obywatele niektórych zwłaszcza powiatów gub. łomżyńskiej chowają olbrzymie kury. Długa a pilna praktyka wykazała, iż najlepiej te ptaki tuczącym pokarmem jest roślina *Totus atutosus* —po polsku *Dziesięć bez atu. Kury*, tym specyałem karmione, bywają ogromne i kosztują po kilkaset rubli. Córkom takich ojców, rzecz prosta, nie potrzeba żadnego uniwersytetu. Po co to wszystko, kiedy tatko nie tylko męzką gospodarkę sam prowadzi, ale i do kobiecej tak dzielną przykłada rękę. Niech więc zostają „w rodzinie“ strzegąc „cnoty“ swych ojców.

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 16 maja.

Porażka rządu cesarsko-niemieckiego w sejmie państwa. — Wiedeńska komisya reformy przemysłowej i głosy robotników. — Francuska komisya i reformy ustawy o stowarzyszeniach robotniczych. — Nowy program polityczny irlandzkiej Ligi narodowej.

Rząd niemiecki poniósł w sejmie państwa silną porażkę. Zamiary Bismarka ścieśniania praw parlamentu dokuczyły przedstawicielom narodu, którzy dali mu nauczkę. Podczas ostatnich rozpraw nad budżetem, Richter w świetnej mowie wykazał, że podejrzenia rzucane na postępowców przez rząd, oskarżający ich o skryty republikanizm, mają na celu jedynie chytre zamaskowanie reakcyjnych dążeń, zdeptanie swobód narodowych i parlamentarnych oraz, że nadużywanie władzy ze strony kanclerza nie da się pogodzić z konstytucyą. Po bardzo słabej replice ministrów, sejm ostatecznie przyjął opozycyjny wniosek Richtera, przekazujący cały (przyszłoroczny) budżet komisyi i to większością 105 głosów przeciw 92. Tym sposobem ulubione dziecię Bismarka zostało uśpione do jesieni. Ponieważ głosy większości należały przeważnie do liberalnych, więc dobrowolnie urzędowe organy berlińskie zagrzmiały przeciwko liberałom a zwłaszcza postępowcom.

W Wiedniu komisya przemysłowa Izby zwołała zgromadzenie biegłych, złożone w części z członków parlamentu, w części z osób prywatnych — robotników, rzemieślników, i fabrykantów. Zaraz po otwarciu posiedzeń przez ministra handlu bar. Pino, członkowie zgromadzenia rozdzielili się stanowczo. Ogółem biegłych było około stu; mniejsza część składała się z członków parlamentu, przedstawicieli wielkiego przemysłu, bogatych rzemieślników i właścicieli zakładów; drugą, większą stanowili drobni rzemieślnicy i robotnicy. Pomiędzy ostatnimi znajdowało się wielu należących do socyalizmu. Biegłym postawiono cztery główne pytania: 1) Do jakiego wieku dzieci nie należy wcale używać przy robotach fabrycznych? 2) Od jakiego wieku i w jakim zakresie można się niemi posługiwać? 3) Czy należy ograniczać i do jakiego stopnia pracę młodych ludzi, jeszcze niecałkiem pełnoletnich? 4) Czy interesy robotników i stan przemysłu współczesnego pozwalają na ograniczanie dnia roboczego do pewnej liczby godzin i zakazu pracy w niedzielę? Oprócz tego postawiono jeszcze pewną liczbę pytań dodatkowych. Deputowani i biegli, należący do opozycyi, okazali się z góry bardzo nieprzychylni całej tej naradzie, a z pomiędzy centralistów jeden tylko poseł dał bardzo rozumne i ludzkie wyjaśnienia. Między innymi biegły Pejker, jeden z wybitnych przedstawicieli stronnictwa socyalistycznego oświadczył, że uważa środki przedstawione w pytaniach powyższych za niedostateczne do rozwiązania zagadnień tak głębokich i palących. Powiedział on bez ogródki, że nie można wcale wierzyć w szczerość zamiarów wiedeńskiej Izby poprawienia bytu robotników, że jednak mimo to uważa sobie za obowiązek poznajomić zgromadzenie z potrzebami i żądaniami klas pracujących, jakkolwiek przekracza to znacznie zakres pytań postawionych biegłym. Prawie toż samo oznajmił drugi przedstawiciel robotników zecer Hoeger. „Żądamy — powiedział on wreszcie — zupełnego zniesienia pracy w niedzielę, ale z całkiem innych pobudek, aniżeli te, jakiemi się rząd powodował przy układaniu projektu ustawy. Nie chodzi nam wcale o szczęście pozagrobowe; my chcemy polepszenia bytu naszego na ziemi i dla tego żądamy odpoczynku w niedzielę.“ Dalej wystąpił bardzo ostro przeciwko świeżo przeprowadzonej klerykalnej noweli szkolnej, która tłumiąc oświatę ludu, przynosi mu nierównie większą szkodę umysłową, aniżeli wszelkie straty materyalne. Wogóle odpowiedzi Hoegera dadzą się streścić w ten sposób: 1) Bezwzględny zakaz używania do pracy dzieci niemających lat 14. 2) Wyrostkom od lat 14 do 16 można dozwolić pracy sześciogodzinnej, a od lat 18 ośmiogodzinnej; robota nocna do tego wieku winna być wzbroniona; kobiety brzemienne i położnice nie powinny być dopuszczane do pracy fabrycznej w ciągu 6 tygodni przed i po pologu. 3) Dla robotników dorosłych normalny dzień 10 godzin. 4) Robota w niedzielę i święta powinna być wzbroniona.

W Paryżu komisya, utworzona przez ministra spraw wewnętrznych p. Waldeck-Rousseau, dla zbadania sprawy stowarzyszeń robotniczych, odbywa bardzo pilnie swoje obrady. Dotąd następujące stowarzyszenia odpowiedziały na pytania, przesłane im przez komisyę: meblarzy paryskich, dostawców fortepianów, stolarzów, stowarzyszenie umeblowania pod nazwą „Przyszłość“ i stowarzyszenie dostawców narzędzi muzycznych. Większa część stowarzyszeń, które odpowiedziały na wezwanie komisyi, oparta jest na zasadach kooperacyjnych. Jedno z nich istnieje od roku 1849, a powstało wskutek ruchu rewolucyjnego 1848 r. i dzięki swej wytrwałości świetnie się rozwija. Wogóle wszystkie są w stanie kwitnącym. W razie przerwy robót, członkowie ich mają wszelkie ułatwienia w przetrwaniu przesileń, przedsiębrane są bowiem zawczasu odpowiednie środki ostrożności.

Program polityczny nowej Ligi narodowej irlandzkiej, wedle ostatnich doniesień, domaga się przedewszystkiem niezawisłości prawodawczej Irlandyi, niepodległości samorządu miejskiego, reformy prawa rolnego, rozszerzenia praw municypalnych i parlamentarnych. popierania przemysłu i handlu i rozwijania oświaty włościan. Uchwały konwentu narodowego zarzucają Anglii srogość, praktykowaną jedynie w zdobytych krajach dzikich i wzywa wszystkich patryotów do wywalczenia autonomii.

S. C.

CUDZE GŁOSY.

Charakterystyka stańczyków. W przededniu wyborów do sejmu krajowego dzienniki galicyjskie ciągle robią obrachunki już to z czynności całego składu sejmowego, który w zeszłym roku ustąpił z areny parlamentarnej, już też z działalności pojedynczych osobistości, które chcą reprezentować naród w nowym gmachu obrad. Również każdy klub z osobna uległ namiętnej częstokroć krytyce przeciwnych obozów. ale najwięcej podobno ucierpiał w tej podjazdowej walce obóz stańczyków, przeciw któremu zwróciła się cała krajowa prasa. *Czas* na wszelkie te napaści nie odpowiada nigdy wprost, zawsze tylko „pod figurą,“ ale serce jego przepełnione jest niezawodnie krwią a oczy gorzkiemi łzami i gdyby nie wzgląd na *decorum* stronnictwa, rzuciłby się całą swoją bezzębną szczęką na *Nową Reformę*, która napaści nań urządza z całą systematycznością i prawdziwym talentem taktycznym. Dopiekła ona stańczykom niemało w ostatnich zwłaszcza czasach, wykazując w długim szeregu artykułów ujemne strony tej partyi i mnóstwo popełnionych przez nią błędów. Niby na zakończenie podała w jednym z ostatnich numerów dosadną charakterystykę owej zbieraniny różnych żywiołów, nie obejmując jednak swym surowym sądem tego rodzaju czystych ludzi, jak Baum, Szujski i — niewielu innych. Wedle *N. Reformy* tacy tam są ludzie:

„Karyerowicze różnego autoramentu, pseudouczeni, którzy brak naukowych podstaw i zasług naukowych łatają schlebianiem popłatnemi u stańczyków i u rządu kierunkowi, bankowicze, kolejowicze i kandydaci na wszelkiego rodzaju urzędowe posady — chwycili ster stronnictwa, a idąc śladem tego, który „poświęcił się dla kraju“ (hr. Ludwik Wodzicki, opuszczający laskę marszałkowską dla 40,000 złr. etc. etc. na posadzie gubernatora *Länderbanku. Przyp. Red.*), dobrze pamiętają o sobie. Jak na tych wyścigach o zajęcie stanowisk — co przez organ tej koteryi uważanem bywa jako zasługa i poświęcenie — jak na tem kraj wychodzi? Dobry dżokej na torze wyścigowym zrzuciłby z siebie szkaplerz poświęcany gdyby wiedział, że ulży przez to koniowi i pierwszy dobiegnie do mety — ci panowie w pościgu zrzucają wszystko, co dawniej szanowali i czcili, a co każdemu jest drogie. W ostatnich czasach prawdę niezbitą, jak słońce jasną, że

każdy przedewszystkiem społeczeństwu swemu służyć winien, nazwali hasłem zwietrzałem.“

Skrajne konsekwencye, do jakich koterya ta dochodzi, mają jedną wielką zaletę, dają one nadzieję, że ci z obozu tego, którzy w dobrej wierze działają, w dobrej wierze słuchają swoich oficerów i jenerałów, przecież w końcu przewidzą i przywódcom swoim wypowiedzą posłuszeństwo.“

Proklamacya lewicy wiedeńskiej Rady państwa, jakkolwiek mieści w sobie wiele słusznych uwag, nie wywołała wcale żywszego zajęcia nawet w centralistycznej prasie, a chociaż cała jej osnowa tętni jedną wielką skargą przeciw wiejącym z prawicy prądom reakcyjnym, żale centralistycznych wolnomyślnicieli nie budzą szerszego współczucia, nie ze względu na treść akcyi, ale jej autorów. Proklamacya ta jest odpowiedzią i podziękowaniem za liczne adresy i wyrazy zaufania, jakie z powodu ostrego wystąpienia przeciw noweli szkolnej otrzymała lewica od swych zwolenników.

„Najważniejszą walkę — powiada on — stoczyliśmy wśród obrad nad nowellą szkolną, zmieniającą owe najszlachetniejsze i najwspanialsze dzieło naszego stronnictwa, które chociaż było owocem niemieckiej pracy cywilizacyjnej, miało w równej mierze przynieść błogosławione owoce wszystkim ludom naszej ojczyzny. Mimo to zostaliśmy przegłosowani. W tych ciężkich dla nas czasach, których końca trudno przewidzieć, wołamy do was: walka o szkołę jeszcze nie skończona! Wobec odmiennych okoliczności musicie z niezłomną odwagą i wytrwałością występować *w obronie wolnej szkoły* i to wszędzie, bezustannie, zapomocą wszelkich środków legalnych. Nie powinniśmy o tem zapominać, że uchwalone obecnie zmiany w ustawie o szkołach ludowych są wymownymi objawami politycznych dążeń stronnictwa, stojącego przeciw nam w przymierzu. Należy się słusznie obawiać, że i inne wolnomyślne instytucye naszej konstytucyi doznają losu ustawy szkolnej i że skutkiem tego przyjdzie nam stoczyć niejedną jeszcze ciężką walkę. Nie wątpimy jednak, że ją uwieńczy palma zwycięztwa.“

W odezwie tej czuć niemałe rozdrażnienie z powodu przegranej, wiele też w niej przesady w zdaniu o „przymierzu wsteczników,“ jak gdyby autorowie proklamacyi nie wiedzieli o tem, że wielu członków prawicy najstraszniejszemi dopiero zaklęciami zmuszono do głosowania za nowelą — ale przyznać mimo to trzeba, że obawa o nienaruszalność liberalnych postanowień konstytucyi ma pewne podstawy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Oświata. W ciągu niespełna pięciu miesięcy rozprzedano w Galicyi cały nakład kilku nowszych wydawnictw ludowych Macierzy w ilości 12,000 egzemplarzy. Macierz ma zamiar wydawać dwa pisma w języku polskim i ruskim przeznaczone dla ludu.

Nauki. W maju w Kijowie M. P. Bucińskij bronił rozprawy na stopień magistra o Bohdanie Chmielnickim. Utrzymuje on, że Chmielnicki był typowym szlachcicem polskim i na miano bohatera narodowego zasługiwać nie może. Przeciw polakom wystąpił Bohdan wskutek uraz osobistych.

Akademia umiejętności w Krakowie na członków czynnych wybrała prof. Bobrzyńskiego i Rostafińskiego.

Sądy. Dwaj studenci pociągnięci do odpowiedzialności za znieważenie żandarmów podczas zaburzeń uniwersyteckich skazani zostali: pierwszy na rs. 50, drugi na 10 dni aresztu.

Elektryczna droga żelazna ma być zbudowaną w Londynie.

Przyczyna halucynacyj. W angielskim *Journal of science* pomieszczono artykuł, którego autor utrzymuje, że przyczyną halucynacyj są grzyby z rodzaju *amanita muscaria*.

Zapisy na pożyczkę krajową (3,800,000 złr.) w Galicyi pokryły ją z przewyżką. Główna w tem podobno zasługa energicznego marszałka Zyblikiewicza.

Przemysł. W gubernii podolskiej ma być założoną fabryka superfosfatu. Dotychczas fosforyty, jako materyał surowy, wywożono do Anglii i tam przerobione dopiero sprowadzano napowrót.

— W powiatach jampolskim i olgopolskim tejże gubernii powstają dwie cukrownie, których głównymi akcyonaryuszami będą okoliczni plantatorowie buraków. Na tych samych warunkach zakładają się cukrownie w okolicy Ciechanowa i Opola.

Jubileusze. Uczniowie Szkoły sztuk pięknych w Krakowie i młodzież uniwersytecka przygotowują uroczysty obchód 25 letniej artystycznej działalności Matejki.

— W Niemczech zamierzają obchodzić uroczyście 400-letnią rocznicę urodzin Lutra

Konkursy. Rada wykonawcza Macierzy polskiej ogłosiła w roku zeszłym konkurs na trzy prace przeznaczone dla ludu: 1) o rodzinie, 2) o poszanowaniu własności, 3) o weterynaryi. Dziełka o weterynaryi i o wzajemnych obowiązkach w rodzinie otrzymały nagrody: z 12 zaś prac o poszanowaniu własności żadna nie odpowiadała wymaganiom Rady. Czyż byśmy się na tem mniej rozumieli?

Przepisy. Zmiana przepisów co do ilości godzin pracy dzieci w fabrykach wskutek przedstawienia moskiewskiej rady handlowej odroczoną została na rok jeden.

Parcelacya. Jeden z właścicieli dóbr donacyjnych w gub. radomskiej otrzymał pozwolenie sprzedania ich, ale tylko w małych udziałach włościanom.

Przytułki rzemieślnicze. Towarzystwo Osad rolnych zakłada w Orłowie (gub. lubelskiej) przytułek dla chłopców i pod Warszawą dla dziewcząt. Do zakładów tych przyjmowane będą dzieci opuszczone lub pozbawione rodziców. W miarę wzrostu funduszów w każdej gubernii założone będą dwa przytułki: jeden dla dziewcząt, drugi dla chłopców.

Wydawnictwa. Akademia Umiejętności w Krakowie wydaje 7 i 8 tom *Starożytnych prawa polskiego pomników* pod redakcyą prof. Bobrzyńskiego i dra Ulanowskiego oraz uzupełnienia do *Voluminalegum*, których redakcyę poruczono prof. Zatorskiemu.

I to dobre. *Now. Wremia* najpoważniej w świecie utrzymuje, że prof. Wróblewski, pracując nad skropleniem tlenu i otrzymaniem nadzwyczaj niskiej temperatury, przyczynił się pośrednio do —ułatwienia żydom nadużyć w gorzelniach.

Bibliografia polska. J. Kościelski *Poezye*, serya I, Kraków, Gebethner i Wolff.

— Tenże *Arria i Messalina*, tragedya w 3 aktach, Kraków, Gebethner i Wolff.

— *Szczawnica* Sprawozdanie komitetu administracyjnego—Kraków.

— *Mowy*, wypowiedziane przy obrzędzie pogrzebowym ks. dra Leopolda Marcina Otto, wydane przez ks. Edmunda Holtz.

— Iwanikow *Główne zasady teoryi polityki ekonomicznej* od Adama Smitha do teraźniejszych czasów, nakładem studentów Instytutu agronomicznego w Puławach (przekład z rosyjskiego), Warszawa.

— Stanley-Jevons *Ekonomia polityczna* (przekład z angielskiego).

Prasa polska. We Lwowie zaczęły wychodzić dwa pisma *Łączność* i *Zgoda*, Są one organami stowarzyszenia *Łączność i Zgoda*.

— Tamże ma ukazać się wkrótce *Gazeta Wiejska*, pismo przeznaczone dla ludu.

— *Kuryer Codzienny* otrzymał pozwolenie na rozszerzenie dotychczasowego programu i wypuszczanie codziennych porannych dodatków, prócz tego prawo pomieszczania portretów współczesnych znakomitości i różnych ilustracyj.

Prasa rosyjska. *Golos* przeszedł na własność spółki, na czele której stoi adwokat Gajewskij.

Teatr. We Lwowie przedstawiono dramat T. T. Jeża: *Narzeczona Harambaszy*.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. J. w P. Zadanie Akademii brzmiało: rozkład liczb całkowitych na sumę pięciu kwadratów.

P. A. Z. Wyraz łaciński, pierwotnie znaczący troskliwa pieczołowitość. Religią naturalną zwą niektórzy filozofowie cześć dla praw natury. Nasza statystyka przeważnie niewiarogodna. Jakiego rodzaju niemoralność — gdyż rozmaite występki w rozmaitych miejscach dochodzą do najwyższego natężenia?

OFIARY.

Na pomnik Mickiewicza. Ludomiła G. rs. 1.

Na kasę Mianowskiego. Maciej Kosiński z Białegostoku rs. 1.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Мая 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.